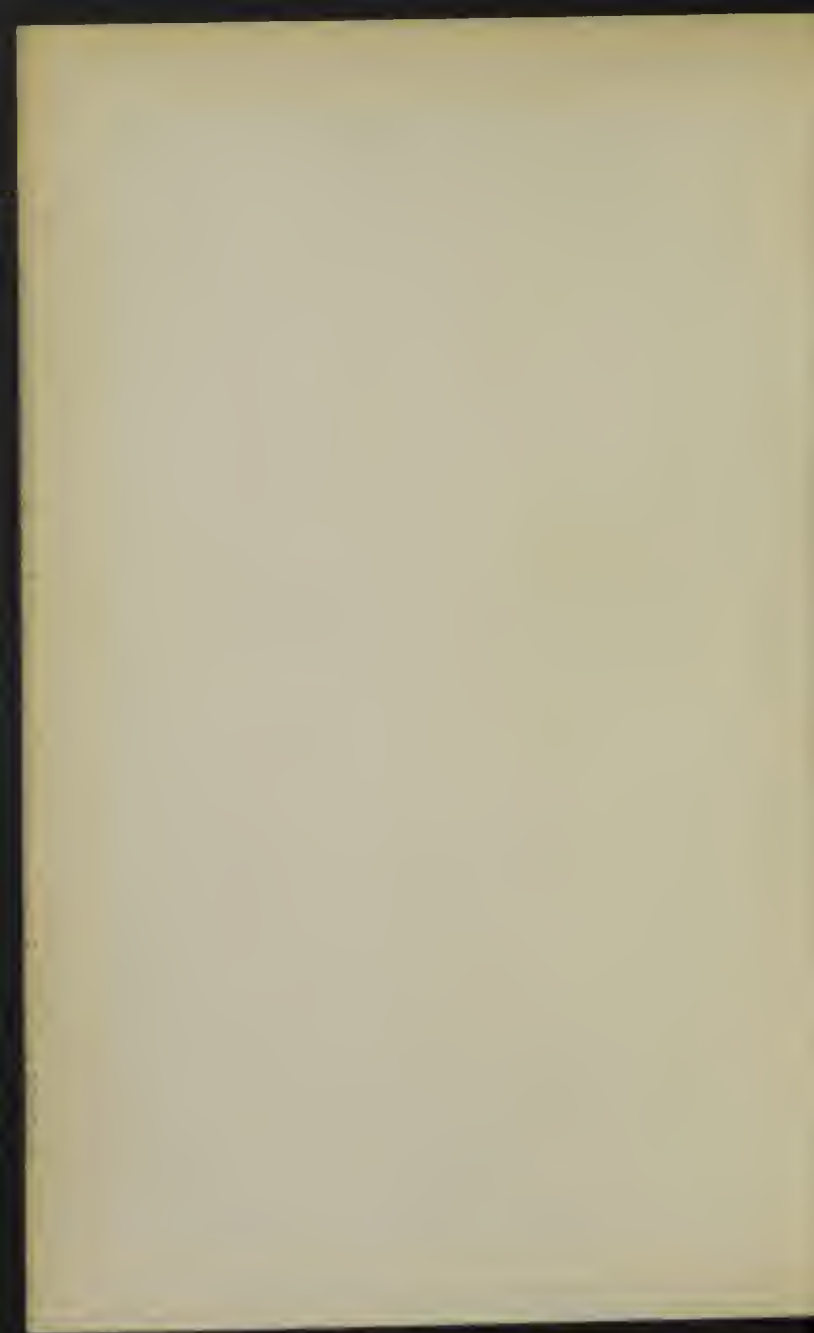


# **KRÓLEWSCY SYNOWIE.**



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

VI.

---

# KRÓLEWSCY SYNOWIE.

Powieść

z czasów Władysława Hermana  
i Krzywoustego.

Tom IV.

Boleslae, Boleslae Dux gloriosissime  
...defendis tuam terram quam studiosissime...  
Pieśń obozowa niemiecka.  
Gallus.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1877.



W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

## I.

Już przepływali Bolesławowi Persantę, gdy miasto się budzić zaczęło.

Dwa pułki zostawiwszy w odwodzie za sobą z resztą Bolko się rzucił na ludne, szerokie przedmieścia. Mieszkańcy, których ta napaść niespodziana schwyciła na poły rozespanych, ani wiedzieli zrazu co zagrażało, ani się bronić mogli.

Niewysłowiona trwoga opanowała ludność. Bezbronne, otworem stało wszystko, domostwa malowane, izby i szopy kupi różnej i sprzętu pełne, ludzie w gziach, pół nadzy zrywający się ze snu; targowice bogate, jakie tylko nad morzem widzieć można, żelazo, kruszec, skóry stosami i kupami.

Skarbmierz z małym oddziałem, minąwszy przedmieścia, wprost puścił się na najbliższą bra-

mę grodu, Żelisław godził na drugą, aby się dostać do wnętrza.

A tu już mnogi lud, wrzawą przerażony, z domostwa się wysypując, zalegał ulice i rynki.

Zaledwie Skarbimierz wpadł do środka miasta, gdy grad kamieni, drzewców, sprzętów, naczyn na żołnierzy się posypał.

Tłum obległ go, cisnął się pod nogi koniom, za uzdy chwycił, palkami bił jeźdźców—padali jedni pod nogi koni strатовani, biegli drudzy, krzyk rozpacz, jakby jeden głos, jeden ryk potwory dziękić całym wstrząsał grodem.

Siekąc na wszystkie strony, krwawiąc i platając, bo oszczepów w ciasnocie użyć nie było można i spuściwszy je mieczami tylko rąbano, posunęli się Skarbimierzowi w głęb, szli, dopóki lud zbity w jedno ogromne ciało nie nacisnął ich, nie począł gniesć i przec tak że po trupach nazad ku bramom cofnąć się musieli.

Za Skarbimierzem mało poszło w tą otchłań, nęciły bogactwa na podzamezu, któremi żołnierz się obladowywał. Chwymano po drodze i wiązano jeńców, chłopców i dziewczęta, wynoszono wory, rozbijano skrzynie. Jeden łupieżca dał przykład, drudzy poszli za nim. Nie było sposobu znacznej części wojska wstrzymać od grabieży. Bolesław postrzegłszy Skarbimierza we wrotach, partego przez tłumy, posyłał mu posiłki, gnał ostatek swych ludzi, lecz na ogromnych

przedmieściach, otworem stojące domy, wabily więcej żołnierzy. Szał opanował ich jakiś.

W pośrodku przedmieścia na pagórku wyniosłym stał okazały gmach z drzewa, na ogromnych słupach wzniesiony, szkarłatną barwą malowany, oponami obwieszony do kola.

Była to Świątynia pogańska Tryglawa, ezezowego przez Pomorców, do której z dalekich stron ludy po wyrocznie chodziły.

Tu także dopadł oddział jeden, spodziewając się największego łupu, lecz u parkanów opasujących budynek tłum gusłarzy, wieszczków, posługaczy ścisnięty rozpaczliwie świętości swych bronił. W ciasnych wrotach z dzidami i toporami rozwścieczeni stali starcy, kobiety, młodzież, i rzucając się na miecze Polan, chwytali je gołemi rękami, krwawiąc się i rzeżąc, byle oręż wyrwać nieprzyjacielowi. Drudzy jeźdźców z koni ścigali, lub bezbronni kłotali i rwali ich jak zwierzęta dzikie.

Parkan drewniany, który dookoła obwodził świątynię, gdy go przecć i rąbać poczęto, obalił się w końcu, przygniatając sobą część obrońców.

Gdy ten pas rozerwany został i padł, reszta ludu stanęła w progach świątyni z tą samą bronią jej zawziętością. Tu bój był najstraszniejszy, bo z jednemi przed sobą stojącemi, z drugiem i którzy zewnątrz oblegali walczyć musiano.

Wśród walki tej jedna z opon, które jeszcze

kryły wewnątrz świątyni urwana padła na głowy tłumu i po za nią ukazał się olbrzymi posąg trój głowy, cały blachami złotymi obity, u którego stóp na kamiennym ołtarzu płonął ogień na pół już przygasły.

Na słupach i w głębi na tylnej ścianie wisiały oręża kosztowne, tarcze, zbroje i hełmy, stały oszczepy stosami, polyskiwał złoty i srebrny sprzęt świątyni.

Cisnąc przed sobą starców i niewiasty krzyżące, obalając je pod nogi, żołnierze wpadli do środka. Tu już nie bój ale rzeź się poczęła, bo nikt nie następował, nie chciał poddać się żaden. Leżący na ziemi nożami rozcinali brzuchy koniom, kałeczyli traktujących ich ludzi, czepiali się jak pijawki i ciągnęli za padającymi. Pół stało w nich życia, do ostatniego drgnienia bronili swojego Boga i chramu.

Krew ciekła z progów dokola, po trupach i dyszących jeszcze ciałach iść trzeba było do posągu, i kilku ludzi dragam i naparłszy z tyłu zrzucili go z podstawy na której był wzniesiony.

Olbrzymi balwan z trzaskiem obalił się na ziemię i padając na ciała kupami leżące przed nim, zgniótł je aż krew z nich trysnęła.

Pół świątyni zalegał kłoc ten drewniany, który z blach odzierać poczęto. Jedni chwytali zbroje ze ścian, włócznic i stanice poświęcane, drudzy dobywali się do podziemnego skarbcza świątyni,



który pełen był złotych i srebrnych naczyń, opon i wszelkiego sprzętu drogiego.

Nadbiegający później poodrywali boczne opony i gmach stanął na przestrzał otwarty...

Przestroszyła go garść zwycięzców.

Zaledwie ci co zdobyli świątynię mieli czas ujsć z niej, gdy już płomień obalonego ołtarza poczęło chwytąć szaty na trupach, a wiatr rozdmajający ogień niósł go po gmachach całym. Zaczęły płonąć słupy i ściana tylna, suche drzewo smolne gorzało szybko i ogień pnąc się po nim dach już sięgał.

Obciążeni łupami musieli co prędzej unosić życie z płomieni, które szczyły się, obejmowały wszystko i jednym stosem czyniły olbrzymią budowę.

Wyschłe słupy przepalone od dołu, wnet się chwiać poczęły i gdy dwa z nich przejadł ogień, ciężki dach z belkami; z ogromnym łoskotem runął pokrywając sobą trupy, krew przelaną, posąg Tryglowa i straszne owo pobożowisko.

Rozprysnięte iskry niesły się ztąd na dachy domostwa dokola, w których dokazywali żołnierze.

Wybiegały z nich jęcząc pół nagie niewiasty i padały sznurami za szyje chwycione. Innych niemilosiernie dobijano.

Był to straszny odwet za krwawe spustoszenia osad polańskich na granicach.

W bramach walczyły jeszcze dwa pulki Skarbinierza i Żelislawa chcąc się dostać do wnętrza miasta; lecz oprzytomniała ludność chwyciwszy broń przystępu bronila tak rozpaczliwie i zajadle jak ci co padli w gruzach świątyni.

Trzy razy rozbiwszy tłumy wparł się Skarbinierz do wnętrza i trzykroć został wyparty tym murem ludzi, wśród którego i trupy, niemogąc paść, drogę tamowały, popychane przez żywe masy co je ścisnęły dokola.

Wśród płomieni, rzечи, wrzasku Bolko obiegał gród szukając wnijścia, zbierając rozpierzchłych ludzi...

Boj ten dziki, krwawy, szalony, przedlnął się dzień cały, trwał do wieczora. Nie było już nadziei zdobycia grodu samego, kazał więc król-wiecz w rogi dać hasło do odwrotu, na zbór rozpierzchłym.

Lękać się było można, aby poganie klęską do rozpacz przywiedzeni, nie wybili się z przeważną siłą z miasta i nie rzucili na oblegających.

Świątynia obalona, złupiona i zniszczona przedmieścia, ogromna liczba niewolnika, bogaty łup płaciły za wyprawę, siały trwogę imienia Bolesławowego u pogan.

Cel był choć w części osiągnięty.

Długo napróżno nawoływano do odwrotu; wśród wrzawy i trzasku płonących domostw, rogów słyhać nie było, dymy zasłaniały chorągwie,

które na znak do góry podnoszono. Musiała starszyzna biedz na pogorzeliska i upojone żołnierstwo gwałtem prawie z między domostw i zwalisk wyciągać. Nie jeden też tu padł schwycony gdy się zapędził, przywalony belką padającą z góry, raniony pociskiem z murów, z których kamienie i strzały się sypały.

Mrok padał, gdy z trudnością udało się pulki rozbite zwycięstwem, użasad przez Persantę przeprowadzić na wzgórze, gdzie na część nocy obozem się położyć musiano, dopóki by żołnierz oszalały nie ostygł, niewolnika nie spętano, nie zbito w gromady, nie rozporządzono odwrotu. Długo tu leżeć nie było można, bo część ludności z przedmieść rozbiegła się po okolicy, i co chwila odwetu a napaści dzieży spodziewać się było trzeba.

Zwolna żołnierz się skupiał rozprzegły. Bolesław, który jeszcze na koniu stojąc patrzył na pogorzelisko i gród niem opasany, smucił się wiele. Nie takiego pożądał zwycięstwa.

Przy koniu jego stał Skarbimierz ranny, ze zbroją potłuczoną, tak smutny i zawstydzony jak on.

— Bóg nam nie pobłogosławił — mówił król — lewicz, łupu wiele! — Co po nim — gród, gniazdo ocalalo!

Świątynię spaloną odbudują, a serec miasta zostało całe! — Odrodzi się węzowe plemię z popiołów.

— Strzymać ludu nie było siły ni sposobu — mówił — wzdychając Skarbinierz. Ponęta zbyt wielka była, jeńca stręczyło się mnóstwo, dziewczęta i chłopey krasne i zdrowe, kupi i bogactw mnóstwo. Nieszczęsna chciwość zgubiła nas!

— Miłościwy panie — wtrącił Żelislaw, pocieszyny się. Nie szliśmy darmo, cios zadany pomorem ciężki. Padła wielka ich świątynia, postrach rzucony nie da im już przedmieść odbudować, nie będą się w nich czuć bezpieczni. Zajęci w domu graniec w spokoju zostawia.

Nie nie rzekł Bolko. Nie pocieszonym był, wyprawa o gród się rozbiła, rycerstwo jego nie posłuchało wodzów głosu. Myślał w duchu że powrócić musi raz jeszcze, aby dopiąć co postanowił.

Całą noc nikt nie spoczął, do czynienia było wiele. Ciągłe jeszcze zwlekali się opieszali. Zrucano zdobycz na kupy, opatrywano, obmyślano jak obciążonym nią powracać. Konie i wozy wprawdzie znalazły się w zdobyczy także, lecz tych nie starczyło, żołnierz musiał brać na barki i konia czego porzucić nie chciał.

Młodszych jeńców do pracy zdolnych pętano i wiązano knpami, starsi padali ofiarą.

Dziki ów lud, znany z wypraw Polanom, na miejskich śmieciach wyrosły innym się wydawał, słabszym zarazem i dorodniejszym, zuchwałym a do boju nie wiele wprawnym. Jeńcy z ziemi

się podnosili z jękiem poglądając na zgłiszczą miejskie, wyciągali ręce ku nim i plakali. Nikt o litość nie prosił, wiedzieli że ojeowie ich, którzy Polan napadali nie mieli<sup>u</sup> jćj dla nich. Z oczyma wlepionemi w morze siedzieli drudzy, wiedząc że go już więcej nie zobaczą.

Noc już była, gdy garść jeszcze zblakanych żołnierzy poślednia, ukazała się od strony miasta.

Gdy się zbliżyli, Żelisław, który na czatach stał, postrzegł pomiędzy żołnierzami, nędznie odzianych ludzi kilku, na pół obnażonych, ponownie rozmawiających z prowadzącemi. Już z języka poznał w nich swoich, — lecz do wojska nie należących. Wybiegłszy przeciw nim, ze zdumieniem ujrzał w nędznych łachmanach, boso idącego przodem Szlązaka, ziemianina Krupę, którego przed kilką miesiącami kupa jakaś Pomorców ze dworu jego nocą porwała i uprowadziła z rodziną całą.

Krupa, którego trzymano uwięzionego w grodzie dla okupu, korzystając z trwogi i zamięszania, razem z kilką innemi wyrwać się potrafił, z wałów spuścił i zbiegł z niemi do swoich. Nie wolą był tak osłabły, iż choć go radość wielka z odzyskanéj swobody ożywiła, zaledwie mógł wydobyć z siebie słowo.

Wszyscy obstąpiwszy go prowadzili wprost do Bolesława, aby się czegoś od niego dowiedzieć.

Zobaczywszy go królewicz, który tylko eo legł spoczywać, wstał uradowany wielce, wołając:

— Milszy ten oto łup jeden, nad całą złotą kupę. Niech Bóg będzie pochwalony za niego i za świątynię którąśmy w perzynę obrócili. Reszta za grzechy nasze.

Krupa płacząc ścisnął kolana pańskie, a że słabym był, królewicz mu winą kazał nalać komornikowi, aby siły do mówienia odzyskał. Obstąpiono go kołem.

Począł opowiadać Krupa jaka trwoga panowała w mieście, i upewniał że gdyby w pierwszej chwili udało się było wpaść gromadzie zbrojnych do środka, miasto by zdobyte zostało a z nim skarby wielkie, oręża mnóstwo i niewolnika polskiego nie mało.

Dopytywali go drudzy o jeńców różnych, nad granicami pochwytanych. Liczył niektórych Krupa co zostali w Kołobrzegu, opowiadał o innych że ich posprzedawano za morze i do innych miast Pomorskich. Z dzielnicy tylko Zbigniewa, jak upewniał, pobranych uwalniano bez okupu.

Potwierdzało się tém porozumienie księcia z nieprzyjacielem. Z niedowiarstwem słuchał o tém Bolko, inni do opowiadania podbudzali, badając, jak to być mogło!

— Nie inaczej jest tylko tak jak mówię, prawda to święta — dodał Krupa. Nie jeden

raz ale dziesięć razy widziałem Pomoreów powracających z wyprawy. Więźniów pobranych u nas stawiono zaraz i szła starszyczna dopytujących. Czyj? z jakiej dzielnicy? — Bolesława czy Zbigniewa? — Kto rzekł że Bolesława był, sprzedawano go i wiązano, Zbigniewowych zaś puszczano wolno, aby się panu oznajmywali, i mówiono głośno. Druh to nasz jest, czynić mu się krzywdy nie godzi.

Starszyczna krzyczała gniewna.

— Nie takli? — nie mówiliśmy? — Jawnym zdrajcą jest! — Na was i na królestwo nasze wiąże się z nieprzyjaciółmi. Głowę by dać winien!

— Że Pomorcy z nim a on z nimi zna się dobrze, — mówił Krupa — naocznem miał dowody. Widziałem jak do niego posyłano, jak on tu swoich ludzi potajemnie wyprawiał oznajmując kędy książę nasz, gdzie i z jaką siłą się znajduje.

Słyszając to dowódcy miotali przekleństwa i z gniewu utrzymać się nie mogli. Milczał Bolko zasepiony. Krupa nie tylko szczegóły najmniejsze przytaczał, ale prawdę słów swych po-przysiądz był gotów, wraz z kilką innemi ludźmi, jak on zbiegłemi z niewoli.

Więc choć dzień ten mógł rozweselić serce królewicza, ehmurny położył się przy ognisku, jakby największą poniósł klęskę.

Napróżno przytomny o. Hilaryon pocieszał, przypominając, iż było za co dziękować Bogu, a nie skarżyć się, bo orężowi pobłogosławił i zdradę odsłonił.

— Tak ojeze mój — rzekł książę — ani zaniedbam złożyć Bogu dzięki i ofiarę, bośmy walezyli szczęśliwie, a nie nadaremnie. Lepiejby jednak być mogło, gdybyśmy nie dali się ująć pokusie i chciwości grzesznicy. Nie przetoż się smuć. Trapi mnie, co opowiada Krupa ten, bo zdrada braterska nad wszelkie bole jest większą boleścią. Ze krwi mi bratem jest. Znałem go złym, nie chciałem wierzyć zdrajcą. Pamiętne mi słowa ojcowskie, iż który na kraj z wrogiem czynić zmowy będzie od praw swych odpaść powinien.

— Sam on się z praw tych wyzul — rzekł kapelan. — Nie krzywda mu się stanie, ale sprawiedliwość, gdy dzielnicę utraci.

— A ludzie rzekną, że to uczynił nie dla jego grzechu, ale dla mojej żądzy panowania choć widzi Bóg serce moje! — dodał Bolesław.

— I Bóg osądzi sprawiedliwie — dodał ojciec Hilaryon, a zaprawdę lepiej jest, ażeby ginał jeden, niż przez jednego tysiące.

Rozmowa z duchownym przeciągnęła się dłużej, nadszedł Skarbimierz i starszyzna. Wszyscy rozjątrzeni, zburzeni, domagali się ukarania i natychmiastowego sądu. Bolko był nadto rycerskiego i chrześcijańskiego ducha mężem, by łatwo do su-



rowości względem brata dal się skłonić. Zaklinano go i naglono na próżno, stał przy tém, aby raz jeszcze ślać do Zbigniewa. Chciał mu oddać zwierzchnią władzę nad królestwem całém, byle go bronil i knować przeciw niemu zaprzestał. Nie mogli go przekonać, ani stary Wojsław, ani Żelisław, ni Skarbimierz.

Ten słuchając ostatniego posta rowienia pańskiego — rzekł do królewicza:

— Na nie się nie przyda ofiara. Wojować on nie umie i nie będzie, a knować nie przestanie. Przyjdzie państwo to i ziemie jego na ręce nie udolne, rozsypią się i rozerwą.

Bolesław nie nie rzekłszy, przy swoim trwał. Nazajutrz, gdy wojsko łupami obciążone w pochodzie było, kazał do siebie Skarbimierza przywolać, podarki mu z łupów dla brata wydzielił, między innymi dziesiątek chłopców w Kolobrzegu pochwyconych i do Płocka go z tém odprawił.

Miał on raz jeszcze o wierność napomnieć Zbigniewa, grożąc mu, iż w ostatku dla obrony własnej i ziem tych, coś przeciw niemu począć będzie musiał, choćby sree bolało.

Niechętnie posłuszny Skarbimierz, z małym pocztem wyruszył znowu, zawracając się z drogi do Płocka. Nie pochwalał on téj pobłażliwości i zwłoki, bo Zbigniewa znał dobrze.

W Płocku o wyprawie na Kolobrzeg niewiedziano jeszcze, gdy Skarbimierz z jeńcami na

zamknę się stawił. Opadli go wszyscy, pytając, opatrząc, dziwując się tak szybkiej wycieczce.

Przypadł Sobiejuha zdyszany, wyłękły, a zobaczywszy niewolnika i podarki, posłyszawszy o nowem i nadzwyczajnem zwycięztwie, o zabranej zdobyczy, ręce załamał...

— Mnie tam nie było! — wołał ndając zapaleczliwość wielką. — Byłbym tych pogan siekał bez litości i łupem się pożywił. Pewnie się nie bronili!

Przyprowadzonych chłopców zabrawszy z sobą Morko pospieszył do pana. W chwilę potem i Zbigniew, nie czekając przybycia posła, niecierpliwy wyszedł sam przeciw niemu, błady i niespokojny.

Nicwierzyl opowiadaniu; płaczące dzieci Kołobrzegskie sam rozpytywać począł. Potwierdziły mu one straszliwe zniszczenie przedmieść, spalenie świątyń, zabrane łupy ogromne.

Na twarzy Zbigniewa gniew się malował straszny, musiał czekać na uśmierzenie go, nim przeciwko posłowi wyszedł dalej. Przeczuwając złe grożące, stał się wielce łaskawym.

Gdy Skarbimierz ukazał się w podwóren, postąpił ku niemu, ręce podnosząc i wołając.

— Bogn niech będą dzięki za zwycięstwo! Orężowi milego brata mojego szczęści się zawsze. Błogosławieństwo niebios jest nad nim.

Wysłuchawszy tego nieszczerzego wynurzenia się, poseł o rozmowę prosił na osobności.

Źle to już wróżyło, zasępił się Zbigniew, spójrzal trwożliwie, w sumieniu się czując nieczystym.

Weszli do izby razem. Skarbinierz nie zwlekając počął:

— Miłościwy książę, pono ostatni tu raz sprawiam poselstwo. Pan nasz srodze jest umartwiony jawną nieżyczliwością waszą. Dowody mamy żywe, że gdy my krew lejem, walcząc z Pomorzanami, wy z niemi w przymierzu jesteście.

— Ja? z pogany? przeciwko bratu? — zakrzyknął Zbigniew. — Godziż się mnie tak obwiniać! Cheecie się mnie pozbyć! Szukacie pozoru!

— W Kołobrzegu w ręce nasze popadli ludzie, którzy poprzysięgną — rzekł posel.

Zawahał się książę nieco, lecz wprędce znów zapalając się mówić zaczął:

— Kłamstwo nicene! potwarz niegodziwa! Skłócić nas chcą ludzie, aby mnie zgubić. Zaprawdę tłumaczyć się przed wami i uniewinniać, z ujmąby było dla mnie. Oto sam jadę do Wrocławia na rozmowę z bratem.

Wyprzedźcie mnie, oznajmijcie. Jutro lub pojutrze wyruszę.

Skarbinierz swobodniej odetchnął, nie miał tu już nie więcej do czynienia, a wstręt czując ku Zbigniewowi, rad był, że go z ciężkiego położe-

nia wyzwolił. Odmówił przyjęcia na dworze i natychmiast udał się do biskupa.

Marko wnet za nim wysłany, wzajemnie z sobą prowadził dary, wór futer kosztownych i bryły złota. Na biskupstwie opowiadać znów musiał Skarbimierz całą wyprawę szczęśliwą, żywe na sobie okazując jej ślady, bo kilkakroć był rannym.

Sobiejucha wzdychał i ręce łamał, bo się czego innego spodziewali i pragnęli. W kościele na-  
zajutrz uroczyste dziękczynne odprawiało się nabożeństwo.

Drugiego dnia rano, gdy Skarbimierz miał jechać, wiedzieli już ludzie jego, że owych chłopców dziesięciu, potajemnie bez okupu Pomorcom odesłano.

Tak dalece pilno z tém było Zbigniewowi, iż nawet odjazdu posła nie czekał.

Bolesława zastał Skarbimierz we Wrocławiu odpoczywającego, wojsko też po ciężkiej wyprawie potrzebowało wczasu. Pośpiech, walka, powrót łupem obciążonych zmogły i znużyły. Lecz lud to był młody i krzepki, po największém znużeniu prędko się dźwigający, tak, że w kilka dni, gdy król do obozu swego pojechał, nie znalazł już prawie śladu na ludziach szalonej owój wycieczki, o której starsi rozpowiadając, mieli ją za niepodobną do wiary.

Po obozie rozlegała się pieśń owa, którą so-

bie wesółą drużyna Bolesławowa ułożyła na pamiątkę. Chodziła ona z ust do ust i znalazła się później zapisaną na kartach Gallusowej kroniki. <sup>1)</sup>

Słoną rybą śmierzdzącą  
Paśli się ojcowie,  
Zywěj świeżěj zachcieli,  
Zachcieli synowie.

Ojce zamki, oj! zamki  
Zdobyli i grody!  
Synowie się nie zlekli  
Nadmorskiej przygody.

Ojce tury i żubry  
Jelenie bijali!  
Syny morskie! — oj! morskie  
Potwory na fali!

Na dzień wyznaczony Zbigniew się nie stawił, Bołkowi już dokuczał spoczynek, chciał znowu ścieć do niego, gdy trzeciego dnia dali mu znać ludzie, iż Płocki książę przybywa.

Jechał jak zwyczajnie, gdy w największym był strachu, z najhałaśliwszą wrzawą, ze dworem postrojonym endaecko, nakazawszy co sił dąć w rogi, w bębny bić, a ludziom na różne głosy zawodzić.

---

<sup>1)</sup> *Piscis salsos et fetentes etc. Gallus.*

Znano go już z tego, bo się nigdy inaczéj, jak z tym szumem i wrzaskiem nie jawił.

Chociaż w podwórcach hałas się rozlegał straszliwie, Bolko nie wyszedł naprzeciw bratn.

Powitał go w progu Skarbinierz i wprowadził do izby. Spotkali się zimno. Bolko wstał, zobaczywszy wchodzącego, skinieniem głowy go przyjął i miejsce obok siebie ukazał...

Zawczasu się przygotowywawszy na rozmowę z bratem, Zbigniew przybrał do niéj twarz wesołą, spokojną, niemal dobroduszości pełną.

Przywdział téż starszego powagę.

Bolko z natury otwarty, serdeczny, nie umiejąc ukryć co czuł, siedział zimny, na lien miał gniew i na wodzy utrzymać go nie umiał. Spostrzegłszy to Zbigniew, uczynił się słodszy dlań jeszcze.

— Bracie miły — odezwał się — od dawna pragnąłem rozmówić się z wami. Przez posły źle się sprawy czynią. Ludzie stanęli uniedzy nami i kłóć sięją.

— Jam téż rad posłyszeć z ust waszych, co na obronę swą macie — odezwał się Bolko. Czyny twoje jawne i jasne przeciw tobie świadeżą za mną. Przypomnijcie ile już lat od śmierci ojca upłynęło. Byliżeście choć raz mi w czém pomocą? Siedzieliście zamknięci u siebie, umie znać nie chcąc. Jam za siebie i za was wojować mnsiał.

Z tymi, z którymi ja się bilem, wyście się kojarzyli!

— I wy temu wierzyć? — śmiejąc się, rzekł Zbigniew.

— Cóż macie na swą obronę! Są świadkowie — zawolał Bolko.

— Ja? Mam sumienie moje — rzekł Zbigniew poważnie. — Nigdy nie występowałem przeciwko wam! Nie szedłem na wojnę, bo do niej, jak wy, zdolny nie jestem.

— Dlaczegoż ludzi mi swoich dać nie chcecie! — pytał Bolko.

— Ludzie moi z twojami się mierzyć nie mogą, wstydby mi było — rzekł Zbigniew. — Chcecie! dam ich! poślę. Nie ślałem ich, bo się na niewiele zdadzą, macie swoich dosyć. Bałem się sromu!!

Wyraz mowy lagodny, pozorna jej szczerłość, ujęły Bolka. Zaczynał już, będąc zawsze skłonny uwierzyć każdemu (wszyscy mn to zarzucali) mięknąć i słabnąć. Zbigniew to uczul i śmielszym się stał, mówiąc za sobą.

— Bracie — rzekł z wyrazem przestrogi poważnej — ludziom nie wiercie... Ci, co nas otaczają przewrotni są, a ciebie i mnie za narzędzia używają do swych celów. Drużyna twoja radaby cię widzieć na czele wszystkich ziem, więc podburza na mnie, który stoję na przeszkodzie. Nakłaniają cię do popelnienia niesprawiedliwości,

Łupem moim radziby się z bogacili. Sądziecie mnie zaocznie z ich słów.

Bolko słuchał. Miał wyprowadzić dowody zdrady jawne, a wstyd mu ich było bratu w oczy wyrzucać. Rad je był tłumaczyć tak samo, sprawą jego druzżyny.

— Nie dosyć ci dawnych moich przyrzeczeń — mówił Zbigniew — nie wierzysz im? Wezmij swą starszyznę na świadków, wobec nich nowe uczynimy przymierze, podamy sobie ręce raz jeszcze, poprzysiężemy. Będę ci wiernym, dam ludzi i posiłki, szereg i po bratersku chcę stać przy tobie.

Czegoż więcej mógł pożądać Bolko! Rozjaśniła mu się twarz, wyciągnął rękę. Zapomniane zostało wszystko. Po chwili ponownej rozmowy, szli, ująwszy się pod ręce do stolów, które na nich czekały.

Skarbimierz spojrzał tylko i posmutniał, jawnem dlań było, że Bolko się dał uwieść znowu. Postrzegł, że i inni dowódcy spoglądali niechętnie na płockiego księcia.

Belina bez ręki stojący niedaleko, szepnął, wzdychając.

— Panie, już ci zgoda zrobiona!

— Nie inaczej, nowe, uroczyste zawieramy przymierze, którego będziecie świadkami. Poprzysięże je.



— Przysięga nie kosztuje nic — rzekł Belina cicho.

Inni też wojewodowie trzymali się opodal i nieufnie, ale Bolko ua to nie zważał.

Zbigniew tegoż dnia sam i przez swoich, podarkami i słowy zręcznemi starał się sobie pozyskać panów, z których prostoduszniejsi dali mu się wziąć, jak brat.

Zwolano starszszynę, wystąpili przed nią oba bracia, stał Zbigniew i w obec panów, duchownych i świeckich, głosem śmiałym, jawnie ponowił uroczyste przyrzeczenia drużby i wierności Bolkowi:

— Kłatwą ją na Ewangielii gotów jestem stwierdzić — dodał, rękę wyciągając.

— Amen! — rzekł przytomny biskup.

— Amen — odezwał się stojący u boku Skarbiusz. — Lecz, jeśli i to uroczyste poprzyśiężenie nadwerężone było i złamane, natenczas my miłoseiwego pana waszego prosić, błagać i zaklinać będziemy, aby uczynił koniec jaki przystało, sam kraje te objął i rządził niemi, gdy sam jeden bronić ich musi.

Zbigniew głowę tylko pochylił, ale krwią mu twarz zaszła.

Po uczcie dnia tego wyjechali bracia do obozu, około którego gonitwy z oszczepami odbywać się miały w szrankach. Zbigniew ujrzał tu wojsko, jakiego nie widział, rycerstwo, którego

postawa, męztwo, zręczność napchnęło go zazdrością i gniewem.

Wieczorem późnym, gdy sam na sam pozostał z Sobiejuchą, Zbigniew puścił wodze roznamietnieniu, które przez dzień cały ukrywać musiał..

— Zmusili mnie, nożem na gardle do przysięg — rzekł do zausznika swego — ale wymuszone śluby nieważne są. Sromem mnie tu poją i żółcią! Pomszczę się tego, lub zginę raczej, niż bym żył w tém upodleniu! Jak sługa i dworak jego musiałem się tu włóczyć za nim i podziwiać jego rycerzy! Nigdy mu tego nie przebaczę! Czekalem długo, przyjdzie i moja godzina.

Marko za kolana go chwycił, prosząc, aby milczał, tak się lękał, aby ich nie podsłuchano.

— Miłościwy książę, z mową bądźcie ostrożni, wszystko się zrobi, co zechcecie. Nadarza się zręczność.

Zasłaniając się rękami i szepeząc po cichu, Marko oznajmiał panu, że ziemianin mieszkający nad granicą pomorską, zaprosił właśnie księcia Bolesława na poświęcenie nowo-zbudowanego kościoła i ślub swój, który się wkrótce miał odbyć. Książę z małą garstką drużyny zjechał obiecywał w gościnę. Łatwo było nasłać kupę Pomorców, dając im znać o tém...

Zbigniew pochwycił myśl tę chciwie i namiętnie. — Na wagę złota za jego trupa oplacę! — zawołał mściwie... — Niech raz przynajmniej

ta dzicz go zmoże i pomści się za własną krew i za mnie.

Uradzono po cichu tego wieczora, aby Sobiejucha z drogi jechał do Gniewomira pomorskiego i dał mu wiedzieć czas i miejsce, gdzie Bolka mogli, prawie bezbronnym pochwycić.

---

## II.

Wesela w owych czasach odhływały się jeszcze na w pół pogańskim obyczajem. Wstyd było umiej nad dni czternaście zebranych gości przyjmować a inaczej ich ugaszczać jak pojąc i pobudzając do szaleństwa nie umiano.

Co tylko mógł mieć dom, co się kupić, wymienić, sprowadzić dało, musiało podostatkiem, otworem stać dla gości. Niejeden naówczas ubogim się stawał przez wesele, gdy go sproszczone tłumy ohsiadły i objadły. Podarki wprowadzie przywozili goście, ale każdy téż nawzajem otrzymać musiał dar jakiś. Raz w życiu sprawiało się takie wesele, raz przez dni czternaście pan młody był książęciem, pani młoda księżną, królowali swém szczęściem, odbierali holdy lecz płacić za nie musieli, jakby książętami byli w istocie.

Nikogo naówczas od wrót domu nie godziło się odpychać, a kto zasłyszal o godach włókl się na nie zdaleka, aby się napił i nakarmił do syta. Nie miał kto innego podarku dla nowożeńców, przywoził z sobą pieśń, blaznowanie, wesolość na wymianę, drudzy gusła i wróżby. Do bogatszych wladyków zjeżdżały się ziemie całe, każdy z liczną drużyną, im kto majątniejszy, tém z większym dworem. Gdy pan młody rad był miesiąc cały trzymał gości.

Na osiem dni przed weselem ludzie się już ściągali, mniej nad drugie tyle po ślubie trzymać się niegodziło. Gdy obrzędy kościelne połączyły się później ze starym obyczajem, wesela stały się uroczystsze jeszcze, a nie mniej huczne. Duchowieństwo na wiele zabytków starzyny przez szpary patrzalo; dużo pozwalało się czasu takich ślubowań, co gdzieindziej surowo broniono.

Niemal na saméj granicy siedział Skarbinierza powinowaty młody Niemir, który w królewiczowskiej drużynie służył, a Żelislawa Beliny córka zań wydaną być miała. Wszystkie te rody były w łaskach i zachowaniu u Bolesława, gdy Niemir przybył prosić o pańskie błogosławieństwo, rzekł mu śmiejąc się królewicz i uderzając go po ramieniu.

— Wojny na czasie nie mamy. Pomorey popłoszeni cicho siedzą, czemuż i mnie na gody nie wezwiecie?

Niemir do kolan się pochylił.

— Mogłabym ja mieć to szczęście i pana widzieć u siebie?

— Muszę zjechać choć nie proście — odczuwał się Bolko. — Jednego dnia nas nieboszczyk król na rycerzy pasował, braterstwo z sobą mamy. Zda mi się też, że w lasach mieszkacie, dokola ich tam dosyć i zwierza musi być pełno. Zjadę razem na gody i łowy. Wszakci i kościół pono święcicie?

— Tak, miłościwy panie — mówił wesolo Niemir. — Postawiłem chędogi dom Boży, acz mały. Biskup ma go poświęcić, a ja w nim pierwszy ślub wezmę.

— Ja wam więc będę swatem! — rzekł Bolko ochotczo...

Niemir przyklękawszy chciał go zato w rękę pocałować, Bolesław za głowę uściśnął i odprawił uradowanego.

Pana mieć na weseln domu, szczęście było wielkie. Choćby we sto koni przybył, a miesiącami siedział, Niemir cieszyłby się takim gościem.

Skarbimierz i Żelisław Belina szli zaraz panu dziękować za łaskę. Niemir też niejedną raz w biłtwach za królewicza życie stawiał, a od dzieciństwa przy nim trwał.

Gdy we Wrocławiu o tém wieść gruchnęła po dworze, Marko ją przyniósł Zbigniewowi. Wiedzano, że Bolko jechał w kilkadziesiąt koni tylko.

Lasy do kola gęste były, nieprzebyte i aż do granicy pomorskiej się ciągnęły.— Chociażby orszak królewicza miał się gośmi Niemira pomnożyć i urosnąć, Pomorey mogli zasiąść nań w przeważającej liczbie, osaczyć go jak dzika.

Sobiejucha w powrocie do Plocka, znikł w drodze, ruszył tajemniczo w kilka koni, nie było go dni dziesiątek, wrócił z podarkami obfitemi, wesoly, a gdy do pana poszedł z nowiną, siedzieli z godzinę na rozmowie wesolej i slychać ich było zdala, jak rażno wykrzykiwali.

Tymczasem na zamku w Plocku poczęto czynić jakieś nadzwyczajne przygotowania do świetnego występu lub podróży. Ze skarbcza dobywano sukna, krajano płaszcze dla dworu, okrycia na konie. Żyda owego Nctana Ispana, który z Wrocławia przeniósł się był do Plocka, wezwał Zbigniew do siebie, a że ten miał złotników, którzy klejnoty kuć umieli, dało mu kruszec i kamieni nakazując kuć korony i berła.

Od śmierci króla Władysława nigdy na zamku Plockim tak wielkiego ruchu, bieganiny i zachodów nadzwyczajnych nie było. Wszyscy zdawali się oczekiwać wypadków jakichś, które władzę księcia powiększyć i położenie zmienić miały. Marko Sobiejucha zawczasu też obiecywał sobie odpowiednią zasługom swoim dostojność, z której i Greta się cieszyła, nie wiedząc, że mąż jej pono o zerwaniu związku zamysłał.

Wszyscy prawie rachowali na tę przyszłość, która zdawała się im pewną.

Zbigniew nie bez myśli dwie korony przysposobić kazał Natanowi, spodziewał się bowiem zostawszy sam panem, księżniczkę jaką dostać z Niemiec za żonę.

Uknowana Pomorców napaść czasu wesela, lub lowów, bez których Bolko długo wytrzymać nie mógł, zdawała się nieuchybna grozić zgubą. Nikt się ani spodziewał jej, ani przeczuwać nie mógł. Pomorcy byli przestraszeni srogimi klęskami, jakie ponieśli nie tylko w wycieczkach na Polskę, ale na własnej ziemi w Białogrodzie i Kołobrzegu.

W Niemirowicach tymczasem nadzwyczajne przygotowania czyniono.

Dworzec był nowy w pośród lasów wzniesiony, widłami dwu rzek objęty, opasany tynami, mocny i warowny, bo naówczas inaczej jak obronnie osiedlać się nie było można. Wśród obszernego podwórca wznosił się przy nim kościółek drewniany, jeszcze złocistą barwą świeżego drzewa połyskujący, z małą dzwoniczką nad drzwiami i z domkiem obok dla proboszcza.

Obszerne zabudowania przylegały do pańskiego dworca, bo Niemir był zamożnym, ziemie szerokie do koła należały do niego, osadników na nich podostatkiem było, a daniny, osypy, barcie, stada przynosiły mu wiele.



Roli naówczas wicley posiadacze ziemi wcale prawie dla siebie nie uprawiali. Rozdawali ją osadnikom, którzy dawali zato ziarno, część przyplodku z trzody i odprawiali niezbyt ciężką służbę przy dworach na straży, do grobel i posyłek. W przejazdach książęcych musiały też osady często podwozy dostarczać i obroki dla pańskiego dworu.

Rycersko służący pan taki wielkich obszarów, majątności dzierżąc muogie, sam około ziemi chodzić nie mógł; osadzał na niej ludzi wolnych albo niewolników i jeńców wojennych, zdobytych w wyprawach. Ztąd często i osad nazwiska jak Polowcy, Pomorey i inne pochodzenie osadników oznaczaly. Z niewolnikami, rabami, porabkami (parobkami, dziećmi rabów), rachuba była inna niż z ludźmi wolnymi; niewolny człek robił jak bydle ile zdołał i co mu nakazano. Kupowano go i sprzedawano jak towar inny, sam też mógł się wykupić, jeżeli miał czém i wolność odzyskać. Są ślady, iż żydzi naówczas niewolnikami nawet chrześcijańskimi handlowali.

Właściciel ziemi bez trudu gotowe miał wszystko, łakę mu zsiekli osadnicy, owies zsypali, inne ziarno dali na potrzebę dworu, miód dostarczały baracie, mięso własne stada i zwierzyzna leśna, ryby, rzeka i stawy. Usługa z niewolnych ludzi się składała lub ze swobodnych, którzy za utrzymanie i niewielką placę się zaciągali.

Stan to był pierwotny jeszcze, ale też potrzeby mniejsze, na które obficie mało jeszcze zaludniona dostarczała ziemia. Nie wymagano nic nadzwyczajnego od najmajątniejszych dworów, musiało być wszystkiego podostatkiem ale niewykwintnie. Piwo warzono doma, miód sycono u siebie, wino do mszy tylko, dla chorych i po królewskich dworach zaledwie się znalazło.— Chleb, kasza, zwierzyna, nabiał i prosta ogrodnictwa karmiły.

Niemir nie potrzebował się zbyt o przyjęcie kłopotać, choć rodziny swój, drużyny króla, przyjaciół i znajomych kilkaset się spodziewał. Pełne już były szpiechrze owsa, stały siana stogi, mąka na chleb leżała w worach, zwierza nabitego solonego i świeżego wisiało więcej niż potrzeba.

Rybaicy pamiętali, aby sieci codziennie zarzucać na stawach.

W napitku ni jadła nie przebierano naówczas wcale. Troskano się więcej o to, jak wszystkich pomieścić, stoły ponostawiać i na wypadek sloty się ochronić.

Na to służyły szopy ogromne, podsienia przy dworcu, kilka dużych izb doma, a na spoczynek wyżki, odrzyny, kłacie i wszelki kąt, w którym na sianie lub słomie pod dachem położyć się było można.

Gospodarz, przyjaciele, czeladź już na dni kilkanaście przed zjazdem zajęci byli ściąganiem co jeszcze do uczty kilkmastodniowej brakło. Za-

wczasu też zlażyła się wszelka gawiedź weselna gędzibiarze z gęśłami, kobzami i lirami, gęślarze, śpiewaey, błazny i wesolki.

Ludzie ci żyli z wesel i chodzili z jednych na drugie, bo się bez nich obejść nie było można, bez ich piosenek, pogadanek, zagadek, żarcików, wróżb, któremi gości zabawiać było ich obowiązkiem.

Krewni i drużbowie przybywali też zawczasu, mieścili się po kątach, aby nie zawadzać nikomu i pracowali pospołu z dworem swoim, aby na dnie uroczyste, wszystko się przygotowało jak należy.

Chociaż to był początek jesieni, pory w której zwyczajnie odbywały się wesela, bo dostatek w gminach był największy, drzewa jeszcze stały z zielenią i liśćmi, znalazło się jej dosyć na powyszcianie dróg, obwieszenie i ustawienie budowli, do których i nowiutenki kościółek należał.

Duchowni temu połączeniu dwóch obrzędów poświęcenia kościoła i wesela nie bardzo byli radzi, ale trudno było odmówić człowiekowi, który swoim kosztem wznosił dom Boży i w nim się błogosławieństwa na życie nowe dopraszał. Mruzano, że weselne szły nie dobrze się godzą z poważnym obrzędem i gdy nie przystały tam, gdzie się Bogn święci chram nowy; lecz biskup nie przeciwiał się, duchowni też zamilczeli.

Na tydzień przed obrzędem zjazd liczniejszych gości się rozpoczął. Królewicza dopiero na dwa dni przed weselem najwcześniej się spodziewano. Jechali Beliny, gdzie się jaki znajdował z tego rodu, Skarbimierzcy, powinowaci nawet dalecy. Proszono i nakazywano do wszystkich, bo im silniejsze a huczniejsze wesele, tём większa cześć dla nowożeńców.

Podtenczas gdy Bolesława się spodziewano, przeciw któremu młodzieź o miłą wyjechać miała, wszyscy już prawie zgromadzeni byli na dworze. Panny młodej tylko z matką nie było jeszcze, bo ta dopiero na dziewiczy wieczór ze świetnym orszakiem zjechać miała.

Dziedzińce wszystkie pełne już były i nabite. po całych dniach około stolów, łeczek i kadzi ludu się kręciło mnogo, a podczaszowie zapraszali i nalewali. Śpiewy rozlegały się szeroko i dziwnie z sobą mieszały, bo często dwóch, trzech i więcej śpiewaków w różnych stronach podwórza zawodziło każdy inaczej.

Czasami też, że czas był piękny bardzo, dnie ciepłe i słoneczne, koło młodych dziewcząt i chłopców puszczało się w pląsy, jak to u nas dawnym obyczajem było, ze śpiewami, które to jak pytania i odpowiedzi, to jak wykrzyki się wyrывały, budząc śmiechy i oklaski. Zwrotka czasem dosadna ściągała słuchaczów i niepomierną wywoły-

wala wesołość. Skupiano się dokoła poskakujących i radowano ich rażności.

Niekiedy stary gęslarz na ławie siedzący począł sobie z cicha jaką pieśń dawną, tłum się uciszał, skupiano się w milczeniu, stali potrząsając głowami, zasluchiwali długo smutnie. Trudno było ten oddźwięk przeszłości z nowym światem pogodzić.

Indziej wystąpił blazen, co miał tylko trefnie a słono przemawiać, najczęściej już dohrze podochocony. Z wesełnego wątku snuł dowcipne przekasy, docinając dziewczętom aż fartuchami musiały zasłaniać oczy, to chłopcom, którzy się brali za boki, to starym, co się gniewać nie mogli, bo czasn wesela wesołkom wszystko było wolno i nie szanowali nikogo.

W pośród tej wrzawy ochoczěj, która mało nie po całych trwała nocach, ho choć jedni spać szli do szop, drudzy wypocząwszy wstawali wywabiani śmiechami — ściągnął z innemi gośćmi dla wesela wrzekomo, z widzenia ledwo znany Niemirowi Marko Sohiejucha, ochmistrz księcia Zbi-gniewa.

Przyhywał pańsko przyodziany ze służbą niczego, z podarkiem jak należało i z językiem, którym dobrze obracać umiał.

Przyjęto go, jak i drngich gościnnie dziękując za pamięć i łaskę. Marko się wnet rozgościł

i w tłum poszedł do mis i dzbanów, między którymi był jak w domu.

Powieści wnet weselnych przeróżnaitych opowiadać jął mnóstwo.

Trudno go było zrozumieć zawsze z kąd ród wiódł, bo niemal wszystkie ziemie znał swoje i obce, a zdalo mu się wszędzie równo, byle dostatnio było, wesół człek wnet sobie druhów je dnać począł.

W kilka godzin po jego przybyciu, młodzież która całym poczem wyruszyła naprzeciw Bolka, wprowadziła go z okrzykami ogromnemi wraz z gospodarzem, który też przeciw pana wyszedł z chlebem i solą.

Bolko przybywał wesół, rad, śmiejący się, i jakby dla gospodarza wystąpić pragnął, najśliczniejszą i najdzielniejszą młodzież sobie przybrał do boku, której nrodą i siłą nikt się zrównać nie mógł. Chłop w chłopu jak dębezaki wyrosłe bujno, twarze rumiane, oczy wesole, pleć zdrowa, ogorzała, barki silne, budowa giętka, jechali na koniach niewielkich ale tak zbudowanych jak oni, z nozdrzami rozdartemi, z grzywy długiem i posplatanem, na każdym koniu okrycie szyte, na każdym wojaku zbroja świecąca jak srebro, u boków miecze ciężkie, przez plecy luki, u nóg oszczepy spłaszczone, na szyjach łańcuchy, na barkach plaszcze. Było takich z pół seciny nie licząc

dworu pańskiego starszego, czeladzi i chłopiąt a pacholał do posługi.

Królewicz miał na sobie zbroję taką, jakiej tu jeszcze nie widziano, misternie zszytą z żelaza, jakby z miękkiej tkaniny, malowaną czarnemi pasy i złotem. Rycerski też pas jego lśnił się, gdyby kwiatami przepleciony w barwy osobliwe, które cudną sztuką w złoto wpuszczone były. Miecz miał z rękojeścią z jednego kamienia drogiego, a przez plecy na sznurze złotym, kościany róg rzezany, na którym jak żywa siedziała przyczajona jaszczurka. Róg wisiał na złotych pierścieniach.

Wszystko co żyło, wytoczyło się ze dworu na powitanie pana, okrzykując go, śpiewając, klaskając mu w dłonie, przypadając do nóg, chwytając za ręce. Miał bowiem u ludzi miłość tak wielką, iż ci nawet co go nieznali, kochali go zdaleka, a ci co się doń zbliżali, miłość dłań czuli większą jeszcze.

Król, który pobożnym był wielce, zaledwie z konia zsiadłszy, choć kościółek poświęcony nie był, zaraz się udał do niego.

Jeszcze w tej nowej świątyni wiejskiej czuć było woń sosnowego drzewa, z którego została wzniesiona, wszystko w niej lśniło się świecące, ubogo ale chędogo. Oltarze drewniane były, ławy proste, krzyż Chrystusów wielki z Niemiec sprowadzony nie tak piękny, jak w Gnieźnie, ale

okazały i wszystko co do służby Bożej potrzebne, już w miejscu swém stało gotowe. Uradował się króliewicz, że się tu tak krzewiła po lasach, na kresach wiara święta.

Maly dzwonek nad dachem wesołym głosem wital przybywającego.

Na pamięć tego dnia Bolko też do świątyni z Krakowa kielich i patynę przysłać obiecał, a kościołowi i probostwu nadal zaraz kawał lasu, łąki, młyn na rzece i pięciu osadników, aby pleban o chleb powszedni się nie troszczył.

Chciano króliewicza ngaszczać w domu, lecz wolal do stołu zasiąść na podwórzni z ziemianyn i rycerstwem, bo mu tu rażniej było.

Niemir sam przy panu sprawiał podczaszowstwo i służył. Nieopodał umieścić się Sobiejucha Bolka z oczów nie spuszezając.

Wkrótce rozmowa o lowach się zawzięła, bo gdy nie było wojny, króliewicz lowami, co ją przypominały, się zabawiał. Chwalił się gospodarz, iż w lasach turów, żubrów, losiów, jeleni i wszelkiego zwierzia miał podostatkiem tak, że jak do szpiżarni posyłał do boru, gdy mu mięsa było potrzeba.

Dwa dni jeszcze zostawało do wesela, a za stołem Bolko długo siedzieć nie lubił. Ozwał się zaraz Marko, iż o tych lasach cuda słyszał, jakoby jedyne były do myślistwa całe osobliwe, czém króliewicza ciekawość zaostrzył.



Nalegał szczególnie, iż na uroczyskach, które Wilczemi bagnami zwano, o osobliwych stworzeniach słyszał, które między tury a żubrami środek trzymały, a jakich nigdzie indziej nie znajdowano.

Zajął się tём mocno królewicz. Gospodarz nie zaprzeczał, że coś słyszał o tём, ale zwierza podobnego nie spotkał nigdy ani on ani żaden z jego ludzi, a na Wilczych Bagnach, ku granicy już leżących, gorszy czasem zwierz zabiegał od tury, bo i Pomorców tam zbłąkanych widywano.

Marko zaklął się, że nigdy o nieczём podobnem nie słyszał.

— A! no! — rozśmiał się królewicz — toby to dopiero łowy były nad wszelką zwierzynę!

Śmieli się i drudzy, gospodarz raz jeszcze powtórzył, że jego bartnicy nieraz tam płoszyli małe kupki pogan, które za zwierzem, czy za innym łupem się zapędzały.

Bolesław niezmiernie tём poruszony, goręcój jeszcze i łakomiěj na Wilcze Bagna chciał się na łowy wybierać.

— Gospodarzu — zawołał — jutro, niedalēj jak jutro, spraw nam łowy na Bagnach...

— Miłościwy panie! wola wasza — rzekł Niemir, ludzi wziąć trzeba podostatkiem.

— Cała moja drużyna pójdzie ze mną — odparł królewicz.

Drudzy się tóż napraszać zaczęli, ale Bole-

ślaw nie chciał dużo z sobą nabierać ludzi, aby nie psuć wesela.

Uchwalono, żeby mało kto oprócz towarzyszków pańskich szedł na te łowy. Marko też głośno zapowiadał, że towarzyszyć będzie.

Dosiedział on do końca rozmowy, przysłuchując się jej pilno, a gdy już godzina, miejsce i lik postanowione były, ludzi się naciskało i krążyło dużo przy stołach, z ławy się mknął precz i — znikł.

Nikt tego nie spostrzegł nawet.

Obejrzawszy się ostrożnie dokoła, Sobiejucha jakiś czas między stołami się przechadzał, zagadując do znajomych, potem do szopy się wsunął, na sianie śpiącego parobczaka obudził i szepnął mu do ucha.

— Wileze Bagna, jutro, ludzi będzie z kopa albo i więcej, przed południem. Ruszaj a w skok!

Człek zbudzony z siana się wygrzebał, za szopę wyszedł na łąkę, gdzie się konie pasły, szkapę swoją łatwo odszukał, bo mu ona sama do ręki przyszła, skoczył na nią i w zarośla wpadłszy przepadł.

Marko zaraz napowrót do stołów powrócił i gadki wesole nanowo rozpoczął. Wszysey ich ochotnie słuchali, bo błaznować umiał.

Bolesław kazał się obudzić zawczasie; czeladź miała konie pokarmić i napoić przed świtem. Marko i inni eo się na niebie znali ręczyli, że po-

goda wytrwa, bo znaki na nią były wszelakie. Knry i ptastwo w cześnic na sen poszło, jaskółki wysoko latały, słońce zachodziło czysto, wiatr był od wschodu, snuły się pajęczyny na polach i rosa spadła nienadto obfita, która deszcz zwiastuje.

W istocie, gdy rano po drugiem pianiu kogutów wstawać zaczęli a ten i ów wyszedł się rozpatrzeć w podwórze, lekka mgła już potroszę opadająca, pogodę i dobry do łowów dzień zapowiadała.

Zaczęto zaraz psy brać na sznury, konie uzdać i oddział cały z niespełna stu ludzi złożony, wesolo się puścił w lasy. Gospodarz sam zmuszony w domn pozostać, dał w zastępstwie brata.

Gdy już wyjeżdżać mieli, Niemir do nóg przyszedł się pokłonić królewiczowi.

— Miłościwy panie — odezwał się — gdybyście mi łaskę uczynić chcieli, tobyście na Wilecze Bagna dziś nie jechali, tylko na uroczysko Marusze. Tam zwierza też dosyć, a jabym się Pomorcami cały dzień nie trwożył.

Marko stojący niedaleko aż się rzucił.

— O! o! — wtrącił żywo. — Co pan sobie ma rozkoszy odmawiać! Gdzie tam kto kiedy Pomorca widział! A choćby i znalazł się jaki włóczęga, to go do siodła przytroczą.

Bolesław rad był, że go poparto. Chciało mu się tego uroczyska, roześmiał się, przeżegnał, po-

patrzył na swą drużynę i tych, co się do niej przyłączyli, i krzyknął.

— A no! na Wilecze Bagna, w imię Boże, prowadź młody Niemirze!

Sobiejncha, który wczoraj wielką okazywał do jechania ochotę, teraz właśnie okulał. Opowiadał, że mu koń jego wszetecznie na nogę nastąpił, z czego opuchła tak, że już ją baba musiała okurzać i zaparzać. W istocie nogę miał jedną pobijaną, i włosy sobie niby z głowy rwał, że na koń sięść, a owego turo-żubra widzieć nie mógł.

Jak to u Bolka zawsze we zwyczaju bywało, z podworea ruszając wszyscy się przeczęgnali krzyżem świętym, zmówili modlitwy i w las puścili. Droga na Wilecze Bagna borem była i pustynią, nie torowana, dzika, ciężka, gąszczami. Jadąc dobrze parę godzin przedzierać się musieli, aż brat Niemirów zawołał, że się już nareszcie do miejsca zbliżają.

W istocie z za przeczdzonych trochę drzew przegłądała nizina mokra, w części gnijącemi zawałona kłódami.

Drużyna królewicza nawykła wietrzyć w polu i nosy mająca jak u dzikiego zwierza czuła, poczęła wołać, że ludzie gdzieś musieli być blisko. Czuli dym i woń jakąś nieleśną...

Zdało im się, że jakiś szelest po bokach słyszeli, ale że łowy miały się tu poczynać dopiero

i psów nie puszczono jeszcze, nikt się w bok dla rozpatrzenia nie odbijał.

Bolko jadący przodem już się na łękę przedzierał, gdy w téjże chwili chrzęst i łomot straszliwy odezwał się naraż dokoła, jakby nagle las od wichru się walił. Ziemia zatętniała. Nie było to ani stado losiów, ani trzoda żubrów, tętniały końskie kopyta, dzwoniła brzoń żelazna.

W jednę chwilę wszyscy za oszczepy chwycili i stali pogotowiu. Ze wszelkich stron ukazywali się przedzierający przez gąszcz i łomy Pomorczycy. Liczba nacierających zdawała się ogromna, las był ich pełen.

— Kupa! — zakrzyczał Bolko — trzymać się gromady! Razem! Twarzami do nich. W imię Pańskie!!

O ile obliczyć się dawało przestrzenią przez napastników zajętą, conajmniej kilkuset ich było, doskonale uzbrojonych i dobranych chłop w chłopa. Lecz Pomorcy też mieli do czynienia nie z pospolitym żołnierzem, ale z wyborem najdzielniejszej młodzieży, która za dziesięćkroć liczniejszy ułec stała.

Nikt przytomności i odwagi nie stracił, sparli się wszyscy ramię do ramienia, głowami końskimi i oszczepami naprzód, huknęli.

— Boże zmiłuj się! — i sami rzucili się na Pomorców.

Uchodzić nie było sposobu, dziec otaczała do-

koła, zajęła tył, osaczyła boki, z za każdego drzewa wyglądała twarz, sterczyła dzida okuta, błyskał miecz, świstały strzały. Roilo się poganiństwem wszędzie, szeregami postępowali ścisniętymi.

Jawnem było, że nie przypadek zapędził w tę matnię, ale jakaś zdrada i zmowa piekielna. Przecierało przez myśl Bolkowi, jak go Niemir prosił by nie jechał, a Sobiejucha namawiał.

W osiemdziesiąt oszczepów na pół tysiąca lub więcej ludzi się rzucić było rozpaczliwem i groźnem, ale w Bolku szalony gniew rozbudził nie męstwo już a wściekłość. Puścił się z nieodstępującymi go w gęsty szyk pogan i tłuc ich począł straszliwie.

W pierwszém starciu na wszystkich bokach przewaga była tak wielka tego tłumu, iż mnóstwo z drużyny, pod mieczami i oszczepami padło.

Niektórym pozabijano konie, tak, że z bronią pomiędzy towarzyszami cisnąć się musieli, i walczyć pieszo przeciw napastnikom rąbiającym z góry. Garsć Bolkowa zbiła się w jeden kłęb, królewicz z nią wpadłszy między szeregi tak gwałtownie natarł na nie, że je zламаł i przez szyk nieprzyjacielski przedarł się, drogę zasławszy trupami. Mógł uchodzić, ale jak lew rozjadły, zwrócił się na dziec raz drugi, dobywając do resztki ludzi, która od niego odciętą została.

I za drugiem tém natarciem Pomorzycy prze-

rażeni, choć się bronili, cofnęli się i rozstąpili, koniowi tylko Bolesławowemu przebito bok tak, że chwiać się pod nim począł. Niemira brat przypadł doń ze swoim koniem.

— Królewicu! — krzyknął — na miłość Bożą, bierzcie konia mojego, bierzcie a ratujcie się, lepij, bym ja ginał, niż wy, bez którego zgina ziemia nasze! Z konia się trzewa włoka.

Gdy to mówił koń też padł i Bolko ledwie miał czas na poddanego przeskoczyć, pehając go znouu ku poganom.

Droga za królewiczem trupami ludzi i koni była usłana. Stała się rzecz do uwierzenia trudna, iż tej garści nienstraszonej, która przy Bolku została ulękli się napastnicy, widząc szal, z jakim rwala się na nich; — poczynali uchodzić.

Najmniej dwóchset położyła królewicza drużyna i Bolko.

Walka przez kilka godzin trwała zajadła. W samym jej początku jeden z czeladzi pierzchnął wprost biegnąc do Niemirowice z wieścią o nieprzyjacielu. Szczęściem w pół drogi spotkał ufie ludzi weselnych, zabawiających się lowami niedaleko, ci natychmiast w cwał pobiegli na pomoc Bolesławowi.

Przybyli zapóźno, gdyż już Bolkowi, którego w pięciu ludzi wolno jadącego za uchodzącymi Pomorcami spotkali, rzucić się na nich i pomścić straty nieodżałowanych druhów było zapóźno.

Zsiadł królewicz na pobojowisku z płaczem niemal patrząc na trupy swoich towarzyszków, którzy walcząc mężnie i zasłaniając go, wyginęli wszyscy prawie<sup>1</sup>).

Na nim samym kawałka zbroi nie było całego, nie miał miejsca na ciele, którego by nie rażono; potłuczony był od stóp do głów, żelaztwo pogięte i podziurawione, hełm strzaskany, miecz poszczerbiony, oszczep skruszony, świadczyły, iż nie unikał niebezpieczeństwa. Mowę stracił teraz i padł jak nieżywy, aż go wodą trzeźwić i oblewać musiano. Krew z ran mnogich się sączyła. Nie zważając na to, chciał biedz i mścić za swoich, lecz mu gwałt prawie zadano, i pochwyceno napowrót do Niemirowiec.

Smutny jak pogrzeb był powrót na owo podwórze, z którego niedawno wyruszali tak wesoło. Ludzie szli naprzeciw niego z zalanymi rękami, witając go łzami.

Postradał całą prawie najmilszą drużynę swą, ukochanego Pruszynek, innych wielu, a i brat Niemira, który mu konia dał, zginął także.

Starszyzna, Skarbinierz, Żelisław, Magnus, wszyscy otoczyli go z narzekaniem i wynówkami.

— Godziło się, można było z tą garścią przeciw nawale walczyć, gdy uchodzić tylko, ocalić siebie należało! — wolano.

---

<sup>1</sup>) Gallus.



— Przeklęty kto miejsce to wskazał na łowy! — krzyčeli drudzy.

Narzekańie było powszechne, plakali starzy, niewiasty jęczały słysząc opowiadania.

Ostatnich jego towarzyszków, porąbanych zszadzano z koni, bo się już dźwignąć nie mogli. Ciekła z nich krew i z koni pokaleczonych.

Bolko połamany hełm zdejmując z głowy, odezwał się.

— Co się stało, Bożym sądem i wyrokiem stało się. Pomóście mi do pomsty nad pogany, a wymówek nie czyńcie, bo próżne są.

Sobiejuha z nogą opuchłą, co mu do łowów przeszkadzała, znikł był od rana. Dopiero przypominając wszystko i waząc, zrozumiano czyją to sprawą być musiało. Wołanie powszechne podniosło się przeciw Zbigniewowi jako zdrajcy. Bolko potrzasał głową i przeczył a wierzyć jeszcze nie chciał posądzeniom.

Zawiedziono królewicza do łaźni, gdzie z niego zbroję i kaftan zaledwie ściagnąć zdołano, tak razami były powbijane w ciało i krwią zakrzepłą przywrzałe. Położono go później na spoczynek, obwinawszy ziołami i płachtami. Nazajutrz jednak wstał i z drugimi razem w kościele i na weselu był przytomnym.

Nie było już ochoty do zabaw i śpiewów, tak wszystkim na pamięci stali ci nieszczęśliwi towa-

rzysze pańscy, których zaraz po ślubie grzebać musiano.

Pamiętne to Niemiry wesele, w długie czasy zwało się „krwawém“ i w rodzie sobie o niem opowiadano.

Bolko ledwie spoczawszy nieco, z Magnusem razem spieszyć musiał do Wrocławia, bo gońce nadbiegli, że od granicy czeskiej o napaści słychać było...

Wszyscy w tém czuli i widzieli ukrytą rękę Zbigniewa, jeden Bolko, gdy mówiono o tém, mileząc głową potrzasał i przeczył.

---

### III.

Nie w jednej Polsce pod owe czasy synowie z ojcem, brat z bratem walczyli o władzę i wydrzeć ją sobie usilowali. Henryk V. który był na niemieckie cesarstwo po ojcu Henryku IV nastąpił, wypowiedział mu wprzód wojnę, podszedł go zdradą, zmusił do zrzeczenia się władzy, do nędznego konania na wygnaniu. W Czechach walczyli z sobą bracia i bratankowie, na Rusi nie lepiej było; nie zapewniał pokoju i zgody żaden związek pokrewieństwa, powinowactwo i śluby.

Rycerzcy w większej części książęta onych czasów, mieli namiętności wojacze, potrzebowali walki do życia, podżeganie możnych rodziło żądze zdobyczy i panowania.

Pomiędzy współczesnemi Bolesławowi Krzywoustemu, niema jednego z panujących, któryby z nim szlachetnością charakteru stał na równi. Henryk V. który był ojca własnego prześladowcą, sprzedawał wszystko. Cesarskie swe słowo, inwestytury, korony, wolność swych jeńców, łaskę monarszą. Wszystko u niego i ulubieńców jego na grzywny się oceniano, i kupowało. Na cesarskim tym dworze książęta czescy ubijali się o władzę, płacąc za nią krwią najbliższych. Zbigniewowi podobnych, równie jak on nie zdolnych, a jak on panowania chciwych, znajdujemy wielu.

W Czechach górą szli i wiechrzyli możni Wrszowice, ciż sami którzy Zbigniewowi pomoc dali do wyjścia z klasztoru, Mutyna Zupan Lutomiczycki, Bożęj pan na Libieach. Ilekroć ich z kraju wygnali nieprzyjaciele, chronili się do Polski. Zbigniew gdy mu niebezpieczeństwo zagrozało do Czech uciekał.

Pomiędzy Czechami a Polską ciągle była zamiana wygnańców, ciągle przytulisko zbiegom dawano. Uchodząc od prześladowania żydzi z Pragi przybywali do Polski, odarci z mienia, zbiegali nekani przyjaciele obalonych z tronu książąt i oni sami — do Krakowa i Wrocławia. Bolko chwytal każdą zręczność aby z wojskiem iść na cudze ziemie, ściągając łup a zdobywać rycerską sławę.

Wojna owych czasów to jeszcze coś tak gro-

żnego i strasznego jak potop i kataklizm niszczący ziemię całą. Za pochodem wojsk nie pozostaje nic oprócz zgłiszcz, prócz stratowanych zastygłych pogorzeli, trupów i kości. Palą się siola, obalają grody, ludność tysiącami pędzi w niewolę. Czego niemożna gnać stadem, to się zabija na postrach i ofiarę. Często kraje przez które przeciągnęły wojska zwycięskie, latami całemi powrócić nie mogą do życia. Z jeńców tworzą się osady na ziemiach pustych, daleko od własnego kraju.

Frymark też zabranym ludem jest prawem a obyczajem uświęcony. Kupey nabywają jeńców i odprzedają ich z zyskiem. Wzięty w plen jest własnością, rzeczą, przestaje być człowiekiem. Dla Zbigniewa stan rzeczy w Czechach był wielką pomocą i otuchą. Waleczyli tam z sobą o władzę Borzywój II z Oldrzychem, Światopłóg z Borzywojem. Bolko korzystał z tego także i z Żeliszławem puszczał się wojować Morawy. Na dworze Bolesławowym pełno było ciągle tych co u niego pomocy szukali i przytułku.

Po jawnej prawie zdradzie i owem nasadzeniu Pomorzan, z których zasadzki cudem się udało ująć Bolesławowi, Zbigniew musiał się wyrzec pozoru uległości dla brata i zaczął występować przeciw niemu otwarcie.

Pomorzan i Prusaków miał za sobą, rachował może i na pomoc z czeskiej strony. Zaczęto

z pośpiechem ściągać ludzi i uzbrajać grody, Gniezno, Spieymierz, Łęczycę. W Kaliszu na przodce nową twierdzę wzniesiono.

Sobieijncha dogodny do pochlebstw, potakiwania i drobnych posług, nie na wiele się zdał panu swemu, o innych myśleć trzeba było, sposobiąc się do wojny. Potajemnie ściągnięto obywatelami wielkimi dowódców kilku, którzy się w dawnych wojnach wstawili, a na Mazowszu posiadłości mieli. Dwór Zbigniewów inną teraz przybierał postać, głośniejsza cisza ustąpiła niespokojnym przygotowaniu. Najemni wodzowie wstawiali w nieudolnego a chciwego władzy księcia, że łatwo pokona brata, gdy przeciw niemu z całą wystąpi siłą.

Pomorcy, Prusacy, Czechy, mieli ze wszech stron na dany znak oskoczyć Bolesława, zajmując ziemie jego; wojska Zbigniewa poparte przez nich, dokonać reszty i osaczanego obalić.

Książę płocki, podniecany, roił już pewne zwycięstwo i panowanie przyszłe nad Polską całą. Cesarza miał lub spodziewał się mieć za sobą. Otwarto skarbiec na zaciągi, nie żalując na nie. Gniezno i Płock roily się zewsząd ściągającym ludem.

Doniesienia zewsząd biegły do Krakowa i Wrocławia, o groźnym niebezpieczeństwie. Z Czech wygnany Borzywój z młodym bratem Sobiesławem, którzy napróżno zebrali pomocy u cesarza

Henryka V, a nie mieli jej czém opłacić, chronili się teraz na dworze Bolesława.

Przyjęcie i wzięcie ich strony ścigało nienawiść, zemstę panującego w Czechach Swiatopluga.

Bolko zagrożony całe swe siły gromadzić musiał, ażeby podolać temu co nań nagle spadało. W zdradę brata o takiej godzinie, nie chciał wierzyć, choć była jawną. potrzebował mieć jej dowody.

Jeszcze więc raz postanowił posłów wyprawić do Zbigniewa, choć wszyscy tą powolność naganiali.

Wybrano ich dwu, a że Skarbinierz potrzebnym był wojsku, ofiarował się stary Wojsław z młodym Pietraszkiem Żemłą, jednym z drużyny Bolesława, endownie ocalonym pod Niemirowcami.

Bolesław pospieszać im kazał i stanowczą przynieść odpowiedź.

Tym razem posłowie otwarcie powiedzieć mieli Zbigniewowi, że niemiłym się okazawszy do panowania, winien był bratu posłuszeństwo. Zagrożano mu odjęciem dzielnicy, o której obronie i teraz jak wprzód nie myślał.

Wojsław z Żemłą pobiegli do Plocka, gdzie mnóstwo zbrojącego się ludu znaleźli, wozy z zakupionym u Pomorców orężem i tłum spędzony, który dzielono na kupy, szykując go i rozsyłając po grodach.



Marko, wiszący zawsze przy dworze, pierwszy się nastroczył przybyłym, lecz nie miał czy nie chciał im powiedzieć, gdzie mieli szukać Zbigniewa.

Zdawało się że kryć się chciał, unikając ostatecznej rozmowy, bo się jej treści mógł domyślać.

Przeknpieni ludzie szepnęli posłom że w Gnieźnie siedział Zbigniew, wokół siebie skupiając co najlepsze sily. Wojśław z towarzyszem nie spoczywając ruszyli natychmiast do Gniezna, i tu go w istocie zastali.

Zmieniony był wielce pan ów, od czasu jak otucha w serce jego wstąpiła. Znaleźli go siedzącego w podwórzu, na pół uzbrojonego, otoczonego żołnierstwem i udającego rycerza. Urosła w nim buta śmieszna. Dwór krzykliwy, grajki, muzyka, zgraja włóczęgów pościąganych zewsząd nieodstępowała go na chwilę. Marka teraz zastępował Benno Horn, niemiec sprowadzony dla dowództwa nad wojskami, które się zbierały.

Niemłody awanturnik ten, czynniejszym był nad Marka, a nie mniej nad niego chępliwym.

Karmił nowego pana swojego wyśmiewaniem tego wszystkiego co w Polsce spotykał, szczególnie Bolkowego rycerstwa, przeciw któremu się straszliwie i zuchwale odgrażał.

W towarzystwie Przemka koczniaka pomorskiego Czechów kilku i Horna, przybywający Wojśław



zastał księcia zawczasu rozkazującego otrębywać swe przyszłe zwycięztwo.

Benno lekceważeniem nieprzyjaciela serca mu dodawał.

Gdy mu posłów od Bolka oznajmiono, rzucił się zrazu, jakby strachem ogarnięty Zbigniew z ławy. chciał ujsć aby się namyśleć, lecz za późno już było, Wojśław nadchodził a Benno męztwo w nim krzepił.

— Miłościwy książę — rzekł — każe im zaraz przystąpić i krótką dajcie odprawę. Staną li ostro, niema co już oszczędzać ich i o zgodzie mówić. Wojna nieunikniona, im prędzej tem lepiej. Drudzy potakiwali także.

Zbigniew jednak do izby wszedł, dworowi kazał stanąć i dopiero, posłów dopominających się spieszo posłuchania, wpuścić polecił.

Wojśław, Żemła i kilku z drużyny ich stawili się przed księciem. Już z twarzy Zbigniewa znać było że inne wiatry powiały; siedział napierzony, gniewny, zły, dumny, nie tając się z niechęcią z jaką przybyłych przyjmował.

Wojśław, człek ciężki i powolny, nie łatwo się dawał ustraszyć, pokłoniwszy się księciu, rzekł:

— Miłościwy książę — dopraszam się czybym poselstwa nie mógł sprawić na osobności, bo mam twarde do wypowiedzenia słowa.

— Jam ei do nich przywykł od mego miłego

brata — wybuchnął Zbigniew. Mówcie co macie, posłucham, będę wiedział co czynić.

— Miłościwy pan nasz, książę Bołko, — odczywał się Wojsław zwolna, — po raz ostateczny wzywa Was ku pomoey i wspólnemu wojowaniu z nieprzyjaciół. Dwóch głów jedno ciało mieć nie może. Niechciecie być prawicą Bołkową, bądźcie wy głową, on będzie prawicą.

Czémś przecie musi być kto tyłą ziemiami włada, a wasza Miłość niechciecie nieczem być, tylko wrogiem.

Zbigniew obu rękami sparł się na poręczach siedzenia.

— Tak więc już do mnie mówicie? — zawołał. Nie mam na to inną odpowiedź tylko tę co zawsze. Pomawiacie mnie o zdradę, stara to piosnka, aby mi wydrzeć i tę kielchę część, którą mi zostawiono. Zatem zagrożony muszę walczyć aby się obronić.

— Walczcie z nami razem, a nie przeciw nam — rzekł Wojsław.

— Przeciw komu? — odczywał się książę.

— Naprzód Pomorców, pogaństwo podbić trzeba i zniszczyć. Dopóki tam krzyża nie zatknjemy, póki do Retry i Arkony zewsząd lud biegać będzie, ani u nas się chrześcijaństwo nie ostoi, ani spokoju mieć nie możemy.

Zbigniew głową potrząsnął pogardliwie.

— Pomorców trzeba sojuszem pociągnąć a nie siłą — rzekł — my im rady nie damy. Nie pokonało ich cesarstwo.

— Cesarz miał wielu innych nieprzyjaciół i zachodów, — mówił Wojśław, ziemie te z prawa do nas należą z dawien dawna, nasze są.

Po Pomorcach Borzywojowi pomagać musimy.

— Jemu? — krzyknął Zbigniew — Ja! jemu! — Borzywoja znać nie chcę!

— Ztém z nami nie trzymacie, i jesteście przeciw nam — odezwał się Wojśław.

— Jam tak dobry jak i Bolko — przerwał Zbigniew. Dlaczego ja mam iść z nim nie on ze mną? — Ja starszym jestem.

— Miłościwy książę — powoli począł Wojśław. Oto już lat bodaj pięć dobiega jak czekamy abyście zbroję wzięli i oręż a szli wojować.

Trudno było iść z wami, gdyście się ruszać nie chcieli.

— Czy z tém was tu w poselstwie zesłano, abyście mi plwali w oczy, na moich śmieciach! — zawołał Zbigniew ze złością.

— Nie, ale żebym powiedział prawdę i żądał od was, prawdy — odparł powolnie i cierpliwie Wojśław.

Książę zwrócił się do stojącego przy sobie Benna i śmiać się do niego począł szydersko.

— He? — prawdy ci się zachciało, ty, sta-

ry wieprzu! — Będiesz ją miał gdy ci powiem, że plnę na pana twego tak jak ty na mnie, a za słowa któreś mi śmiał rzec, pójdziesz do ciemnicy!!

Skinął ręką na swoich.

— Posłem jestem! — rzekł nie zmięszany Wojsław spokojnie.

— Ty! — ty szpiegiem jesteś nie posłem, zakrzyczał książę. Przyszedłeś abyś podpatrzył mnie i zawiózł wiadomość gdzie i jaką mam siłę.

Wiedząc tę prawdę że pojde na was! — na Bolka, a Czechy, Pomorey i Prnsacy pójda ze mną. Pójda, zgniotę go, upokorzę i rznę pod stopy moje! — Rozmiesz!

To mówiąc wstał zburzony gniewem, tēm większym, że Wojsław patrzył mu w oczy śmiało nieulekniomy wcale, choć na skinienie Zbigniewa wystąpili zaraz pacholowie i poselstwo otaczać poczęli, ciskając je przez kn drzwiom.

— Do ciemnicy ich zamknąć i strzedz! Szyją mi za nich odpowiecie! — dodał książę do jednego ze starszyny. To moja odpowiedź, miło ściwemu bratu!!

Posłowie i ich drużyna stali gromadą, miejsce zajmując aż do progu. Gdy na skinienie księcia obejmować ich ehcieli pacholowie, Żemła się zwolna cofnął za swoich aż do wyjścia, wybiegł szybko przez drzwi otwarte, dopadł koni stojących w podwórzu, siadł na swojego co prędej,

będąc pewien nóg jego, i jak strzala puścił się ku bramie. Nim miano czas dostrzedz ucieczkę i rozkazać w pogon iść za nim, już się odsadził daleko.

W kilka minut dopiero, Benno opatrzywszy się, skoczył na dziedziniec, wołając na ludzi aby zbiega gonili, lecz nim się zebrali do koni, Żemła był na podzameczu. wpadł pomiędzy domy, i dobiwszy się do zarośli, ogrodów, opłotków, szop które tu stały gęsto, znikł między niemi. Nie wiedziano nawet w której stronie go szukać; a i pytać nie było kogo, bo na dróżynie od pół mało ludzi było.

Chociaż Wojsław i reszta poselstwa uwięzioną została, było komu Bolkowi opowiedzieć o ich losie i o jawném wystąpieniu Zbigniewa przeciwko niemu. W Krakowie niecierpliwie czekali na wieści. Bolko był właśnie powrócił z Koźła, zamek zastał pełen gości; przyjmował teścia swojego Swiatopelka kijowskiego, mnogo z nim przybyłych Rusinów i Czechów.

Radzono o gotującej się wojnie, gdy Żemła przypadł sam jeden odarty, na koniu wychudłym znękany długą i spieszłą drogą przywożąc o poselstwie wiadomość.

Pobiegła zaraz czeladź dać znać panu, który że z gośćmi swemi na wielkiej izbie w zamku siedział, natychmiast Żemłę do siebie przywołać rozkazał.

Za stołami na poczestném miejscu, Baldwin biskup krakowski, Światopełk kijowski z kilką książętą, Czechów dosyć było, wojewodów i starszych ziemian.

Już z tego powrotu i z odzieży domyśleć się było można, jaki los posłów spotkał. Wypadł Bolko przeciw Pietraszkowi.

— Bóg z tobą — rzekł — coć się stało?

— Gromadaśmy pojechali — odparł poseł — a oto sam ledwie się wyrwawszy od więzów powracam. Tam już wszystko przeciwko nam gore jawnie, grody się sposobią, wojsko ściąga wielkie, Zbigniew nie tai się, że wojnę wypowiada i zuchwale się odgraża. Wojsława i wszystkich naszych kazano do ciemnicy wsadzić, jam ledwie konia dopadłszy, ujsć zdołał.

Bolko nie chciał wierzyć uszom, tak przykrą mu była zdrada braterska, lecz wołał już to wystąpienie odkryte, niż knowania pokątne. Gdy się namyślił nieco, twarz mu się rozpogodziła.

— Niechże tak będzie jako jest — rzekł. — Tak lepiej — Węgrowie mi w pomoc przybędą przeciwko Czechom, a my sami na Zbigniewa, Pomorców i Prusaków starczemy, da Bóg. — Nie wróci już pan brat na grody swoje, skoro podniósł się na mnie. Sam wyrok na siebie pisze.

Oczy mu zapłonęły gniewem.

Stary książę kijowski widząc go tak rozszokowanym, wstał, zbliżył się doń, ręce mu położył na

ramionach w twarz począł się wpatrywać i uśmiechnąwszy — rzekł łagodnie:

— Syn! dziecko moje! a no nie tak gorąco aby dobrze było. Pójdziemy razem, pojedę i ja stary z tobą, bo zapaleczywości twój strzedz muszę, abyś jako do gniewu łatwy, do zgody nie był zapowolnym...

Znając go książ, śmiał się dobroduszenie.

W tém Baldwin biskup z siedzenia swojego dorzucił.

— Miłościwy panie! ukarać trzeba, ale w sercu gniewu i zapaleczywości mieć się nie godzi — boć choć zdrajcą, bratem jest.

— Posłów moich znieważyl! -- zawołał Bolko miotając się — tego mu darować nie mogę i długiego klamstwa a przysięg falesznych!

Napróżno starano się go polamować. Tegoż dnia, bo w Krakowie czasu nie marnowano, wydano rozkazy do pochodu. gońce się rozbiegli na wszystkie strony. Trzeciego dnia, gdzie jakie pułki stały ruszały do najbliższych grodów i zamków Zbigniewa.

Bolko ze Światopełkiem, z drużyną swoją i jego, z czeskiemi wychodźcami, których na zamku zawsze pełno było, wychodził jak na lowy z gorącością wielką.

Nim Zbigniew do boju się miał czas przygotować, nim Benno ludzi do pułków pozbierał i uzbroił, nim po zamkach spodzieli się napadu,

już Skarbimierz, Żeliszaw i najlepsi dowódcy, dopadłszy ich, prawie bez walki jeden po drugim zabierać zaczęli. Żadnego z grodów oblegać niepotrzebowali, przed groźbą samą otwierano im bramy, wiedząc, że jak dobrym jest panem Bolko i chętnie pokornym daje rękawicę swą na znak przebaczenia, tak nad zuchwałemi litości nie ma jego rycerstwo.

W Gnieźnie zabierano się dopiero na tę wojnę, do której w pomoc iść nie mieli wielkiej ochoty Pomorcy, ażby zobaczyli jak i komu się powie-dzie, a Czesi też nie bardzo spieszyli; — gdy do Gniezna zaczęły przychodzić jedna po drugiej wieści smutne o pozabieranych już grodach.

Nie było dnia, by kilku zbiegow nie nadbie-gło donosząc, że Bolkowe wojska zamek jaki opanowały.

Jak straszną była buta Zbigniewa niedawno, gdy sobie zwycięztwo obiecywał, tak gniew i wściekłość w którą wpadł, rozum mu odebrały. Benno napróżno starał się mu dodać męstwa. Narzekał, że był zdradzonym, szalał, miotał się i co chwila zmieniał rozkazy. To się chciał bro-nić w Gnieźnie, to uchodzić na Mazowsze, to uciekać do Pragi, to na wahań bitwę stawić wszyst-ko — a wydać jej odwagi brakło. Tracił głowę. Tymczasem zamki z kolei poddawały się Bo-leśławowi, Skarbimierz i Żeliszaw zagarniali wszystko.



Światopełk towarzyszący zięciowi radował się powodzeniem, lecz widząc zapalczywość Bolka rosnącą, lękał aby jej engli nie puścił i nie stał się zbyt okrutnym przeciw bratu. Baldwin biskup krakowski przewidując, że książę unieść się może zbyt i narazić arcybiskupowi Marcinowi, który Zbigniewowi sprzyjał, pospieszył do obozu i nie odstępował Bolesława, wiedząc, że pośrednictwo jego będzie potrzebném.

Stało się to i z naprawy starego arcybiskupa i z troskliwości duchowieństwa o własne dobro swoje. Nie na rękę mu było wznaganie się w siłę jednego z książąt, od Szczodrego czasów bowiem podział władzy bezpieczniejszém osądzono, Zbigniewa ocalić pragnęli biskupi, aby Bolko nie nrósł zbyt.

Baldwin krakowski stać miał na straży.

Słowo biskupie najwczas silniejszym było nad wszystko, a Bolko pobożny i posłuszny ani mógł ni chciał woli ojców duchownych się opierać.

Gdy Bolesław doszedł do Gniezna, nie było już w niem ani arcybiskupa Marcina, ani Zbigniewa. Załoga jednak dosyć silna zamknąwszy się w okopach, zabierała się ku obronie. Wojakiem zamkniętym na grodzie dowodził Benno, niewiedzący o losie pana i chcący okazać, że w wojennój sztuce jest biegłym. Okopy mocne, tyny na nowo poprawione, samo położenie miejsca warowne, dawało nadzieję, że obronić się

czas jakiś będzie można i może doczekać odsieczy?

Zaledwie pod wrota podszedłszy, Bolko, wedle obyczaju swego, kazał z rogami iść ludziom i otrąbić wzywając do poddania.

Nie odpowiedziano na zawołanie, owszem tu i owdzie strzały puszczone ku oblegającym. Na-  
zajutrz nakazano do szturm się gotować, lecz że wojsko wypocząć potrzebowało, mało co dnia tego przedsiębrano. Wzajem tylko łajali się ci, co na wałach stali z temi, co je opasali, odgrażano się, kamieniami ciskano i dzień zszedł na przygotowania.

Lecz Benno mając czas się rozmyśleć, a może i dostać języka, zwątpił nieco o sobie. Dał mu znać przybyły ukradkiem ezlek, że Zbigniew był już za Wisłą, a inne zamki wszystkie wpadły w ręce Bolkowe. Nie mając więc ochoty stawić karku na szturm, przy którymby opór życiem przypłacił, Benno naradziwszy się ze swemi, powołał do wrot na rozmowę starszyznę.

Postanowił się układać.

Bolesław powiedzieć mu kazał tylko, że ma wrota otworzyć i poddać się nie mieszkając, bo innych układow nie dopuści.

Naówczas Benno zażądał rękawicy od księcia na znak łaski i przebaczenia, a gdy tę mu przyniesiono, pocałowawszy ją sam wyszedł na spotkanie księcia, który po prawej ręce mając bi-

skupa, po lewój teścia, jako zwyczajca, przy ogłosie trąb na zamek wjechał.

Na spotkanie jego wyszedł też i Wojsław, tylko co z ciemnicy wypuszczony, a z nim jego drużyna. Z radością wielką wszysej prosto od bram poszli do grobu św. Wojciecha z dziękczynieniem.

Starego arcybiskupa, który stale Zbigniewowi sprzyjał, nie było na stolicy, chciał się bronić w Spieymierzu staruszek, ale tu Baldwin biskup pośredniczył.

Natychmiast ledwie zajmwszy Gniezno, ciągniono na Łęczycę, poddawały się zamki po drodze, osadzano w nich starostów i pochód jednym był tryumfem.

Zbigniew niewiedząc gdzie się schronić, zamknięty w małym gródku nad Wisłą, losy swe przeklinał i trwożył się o przyszłość. Ale obrońców miał i opiekunów w panach duchownych, w arcybiskupie szczególnie, który całkowitego wydziedziezenia dopuścić nie chciał. Starszyna Bolkowa, wojewodowie, Magnus, Skarbimierz, Żelislaw głośno się domagali co najmniej wygnania zdrajcy, jętrzyli nań brata, przypominali ile lat wicherzył i jak niebezpiecznym było przy najmniejszej zostawić go władzy. Niektórzy wprost się dlań śmierci domagali. aby wygnany z sąsiadami nie knował i nieprzyjaciół nie podburzał. Już w czasie zwyczajkiego pochodu, posel arcy-

biskupa zalecił biskupowi Baldwinowi, by ratował zwyciężonego. Postanowiono przez teścia Światopelka, przez duchowych wymódl na Bolesławie, by wojewodów głosu nie słuchał i miłosiernym był bratu.

Z zamku Łęczyckiego, kędy cokolwiek spożywano, zabierał się Bolko cios ostatni zadać Zbigniewowi, gdy jednego rana, po mszy świętej ujrzał uroczyście wchodzących do izby, w której się z wojewodami naradzał, arcybiskupa Marcina, biskupa Baldwina z pralatami kilku i Światopelka ze swym dworem.

Z wnijsiecia ich domyslać się było można, że szli z poselstwem jakimś i prośbą. Starszyzna domyśliła się łatwo o co szło opiekunowi dawnemu Zbigniewa.

— Synu mój — odezwał się do całującego drżącą jego rękę Bolesława, O. Marcin — synu mój, witam cię słowami ewangelii: czyńcie miłosierdzie jako pożądacie, aby ono wam uczynionem było. Modlimy się codziennie słowy Chrystusowemi: — Opuść nam winy nasze, jako my je odpuszczamy naszym winowajcom.

Spojrzał arcybiskup na zarumienionego królewicza, a biskup Baldwin zawtórował słowy:

— Chrystus pan zbójcom swoim na krzyżu przebaczył i dał nam przykład, który przykazaniem miłosierdzia jest!

Stary kniaź Światopelk zbliżył się za nimi i całując Bolesława — dodał.

— Dobrym bądź, a Bóg da ci zwycięstwo.

Bolesław słuchał i patrzył, nie mówiąc nic, czekał aby wyjaśniono mu czego po nim żądano. Duchowni zdali się też oczekiwać, ażeby przemówiło sreece i objawiło się usposobienie. Oczyma tylko prosili go za winowajcą.

Staruszek O. Marcin, trzymał rękę pana i uśmiechał się do niego.

— Błogosławieństwo Boże z tobą synu mój — mówił cicho — Bóg Abrahamów i Jakubów szczęści orężowi twemu, łaskawym bądź a lituj się.

Wojewodowie stojący nieco zdala, marszczyli się widząc już co zamierzano wymódl na panu łatwo wrażeniu ulegającym. Oni przeciwni byli miłosierdzin, którego skutki, znając Zbigniewa, przewidywali. Walka dziś skończona, wznowić się musiała.

Bolesław milczał jeszcze, gdy Baldwin się odezwał.

— Za bratem twym panie prosić cię przychodzimy. Zwyciężyliście go, zajęliście ziemię, nie gnębcie go i nie karzeie, dajcie mu w spokoju oddychać powietrzem domowém.

Skarbimierz odezwał się z boku.

— Ojciec przewielebny, miłosierdzie dobrém jest, ale i nad nami je mieć chcecie, nad pa-

nem naszym, który spokoju od zdrady jak nie miał, tak mieć nie będzie.

— Odejmijcie mu władzę i panowanie — odezwał się Baldwin — ale nie czynicie włóczęgą i żebrakiem. Puśćcie mu do żywota choć to Mazowsze, które ojciec dlań przeznaczył.

Bolesław nie przemówił jeszcze, spojrział na swych wojewodów, ci zaczęli szemrać pół głosem, a arcybiskup niedopuszczając by się odezwali — powtarzać jął znówu.

— Czynicie miłosierdzie!

Skłoniwszy głowę przed nim, królewicz zwrócił się do Magnusa, który najstarszym był. Wrocławski wojewoda i inni z nim choć za surowością byli, nie śmieli się odzywać już przeciwko biskupom. Skłonili głowy pokornie, twarzami tylko okazując co myśleli.

— Stanie się jako żądacie — odezwał się naostatku Bolko — puszczyć mu do żywota jego Mazowsze, ale grody, które przeciwko mnie powzusił zburzyć musi i iść ze mną, gdy go zawołam ku obronie.

Domawiał tych słów królewicz, gdy drzwi się otwały z trzaskiem i całe niespodziewany wszedł Zbigniew. Nie jak zwyciężony i upokorzony, lecz jak gdyby sam przychodził przebaczać z pychą, która się w nim wzmogła wstydem i upadkiem. Chciał okazać, iż się nie czuł pogwałconym. Ubrany bogato wiódł za sobą kilku Mazurów, kilku do-

wódców w zbrojach i przy mieczach. Przystąpił do brata z udaną serdecznością i wprost rękami go objął za szyję, całując z natarciwością, której trudno się oprzć było.

Bolko serce miał wielkie, umysł wrażliwy, uczul się poruszonym, zwłaszcza gdy Zbigniew na skinienie areybiskupa nieco pokorniejszą przybrawszy postawę, odezwał się głosem jakby litości się domagającym.

— Ludzie nas różnią, ludzie klóć i rozrywają bracie miły. Ja nie pragnę nie tylko cię kochać i służyć ci wiernie. Nie widzą mnie oczy wasze, ani moje was, a pomiędzy nami stoją wrogowie eo czyhają na mnie.

Sojusz czynimy wierny, wieczny, braterski, i niech go ojciec nasz Marcin pobłogosławi!!

Uderzył się silnie w piersi.

— Wiernym ci będę!

Po Bolesławie znać było, że już zmiekl, a po wojewodach, że się na tę jego łatwość przebaczenia i wiarę dawaną zdrajcy, oburzali.

— Mazowsze ci puszcza, winy zapomina— odezwał się Bolesław.—Przedemną wiele do zrobienia i przed tobą.—Chcesz mi być sojusznikiem, chcesz aby ludzie nie mogli stawiać między nami, bądź przy mnie i ze mną, nie oddalaj się.

Twarz Zbigniewa dziwnie zadrzała i usta się zatrzęsły.

— Tego właśnie dusza moja pragnie! — rzekł nagle — nie innego! Ja z tobą, z tobą bracie miły, dopóki mi żywota stanie! gdzie każesz, kiedy pošlesz!

Rozpostarł ręce obie, uściskali się powtórnie, a starszek Marcin płacząc z radości błogosławił pocichu.

Stało się więc. Bolko nie więcéj nie warnjąc oprócz ażeby zamki przeciw niemu wzniesione zburzone były, Mazowsze puszczał bratu.

Zgoda uroczysta zamknęła się ucztą wielką, podarkami i radością, której starszyzna tylko nie podzielała. Zbigniew wesołość i dobroduszość grał zręcznie, lecz ilekroć się zapomniał, w oczach płonął niedogaszony gniew...

— Ujrzycie niedługo — rzekł Skarbimierz do królewskiego biskupa — jako się nam wywdzięczy!

Wiedziano czém zająć Bolesława i myśl jego odciaǳąc, duchowienstwo tegoż dnia przemówiło o poganach Pomorskich, o wojnie za wiarę w kraj, w którym się dotąd bałwochwałstwo bronilo, jak w ostatnim zasięku. Bolko zapomniął o wszystkim, układając na Pomorców wyprawę nową, do której nawet Zbigniew się do jego boku z gorliwością wielką obiecywał.

Areybiskup Marcin, który raz o mało się w ręce poganom nie dostał, i na strychu kościel-



nym szukać musiał strwożony schronienia, zachęcał Zbigniewa też do krzyżowej wyprawy.

Oba oni z Baldwinem też same odpusty i łaski obiecywali wojującym z dziezą, jak tym co szli na zdobycie grobu pańskiego.

— — —

/

#### IV.

Czarna jak przepaść niezgłębiona była noc jesienna. Królewicz, którego teraz i królem już zwano, bo sam jeden panował, z nikim nie dzieląc władzy — stał obozem pod Wieleciem.

Wojsko spoczywało zmęczone, ale czujność była wielka, nie zasypiała starszyczyna. Bolko nauczył jej pilności tej, bo sam najpilniejszym był.

Ogniska przygasić nakazano, strażę gęste chodzily po obozie, w namiocie pańskim ulubienicy jego Skarbinierz i Żelisław dotrzymywali czuwającemu Bolesławowi. Zniżonemi głosy rozmawiano pociehm.

Namiot królewski nielepszym był od tych, w których starszyczyna jego noclegowała. Na dworze swym lubił Bolko wystawę, ale wygodami w pochodzie, w obozie pogardzał. W jednej zbroy

się kochał, i ta najpiękniejszą, choćby najdroższą być musiała.

W namiocie jego nie widać też było ani opon kosztownych, ani drogiego sprzętu wiele, ani co by do rozpieszczania się przy spoczynku służyć mogło.

Po kątach tylko porozrzucany błyszczał oręż wszelaki. Musiał król zawsze mieć zapaśnych zbroi kilka dla wymiany, bo siebie i pancerza nie żałował, a bez miary go na nim psowano, i lżejszego uzbrojenia podostatkim, wręście coś na okaz i przyjęcie ludzi, gdy wystąpić potrzeba było okazałe. Tak samo mieczów do wyboru lik był wielki, a wożono je za nim, gdy na bitwę wychodził, aby zawsze miał świeże pod ręką.

Stali Skarbinierz i Żelisław przy nim, bez oka jeden, bez ręki drugi, oba bohaterskiej postawy ludzie, ale ich Bolko przechodził twarzy wyrazem, całą osobą swą, w której króla, pana, wodza i rycerza widać było. Nie takiego co się nim okazać chce, aby mu się ludzie kłaniali, ale który z Bożej łaski, w pocie czola, krwią się dorobił wielkości swój i mimo swój wiedzy, wielkim jest.

Powaga w nim była z prostotą, majestat z chrześcijańską połączony pokorą. Nieznany człek spotkawszy go, uchyłał głowę przed nim, wybranego czując.

— Miłościwy panie — odczywał się Żelisław Złota-Ręka — spocznijcie już. Pora spóźniona.

Bóg łaskaw, bezpieczni jesteśmy, nie napadnie na nas nikt w tę noc ciemną. Zbyt się troszczyć nie ma o co.

— Poślemy jeszcze czaty, ludzi dobornych co wszystkie stanowiska obejdą — dodał Skarbimierz Jednooki. — Spocznijcie panie, potrzeba wam spoczynku.

— Spocznę! o! noc długa! — odparł Bolko — ale wprzódę nieczynię co postanowiłem. Drżynę wezmę i obóz z nią objadę, potem już legnę spokojny do dnia białego.

— Zbyteczne to — rzekł Żelislaw.

— Lepiej zbyt się troszczyć, niż zamało — rzekł król śmiejąc się. — Drużyna czeka już na mnie, objedziemy okolicę, mam niepokój jakiś i trwogę.

— I ja pojadę z wami — dodał Skarbimierz.

W tém opłotek namiotu uchyliło chłopię i oznajmiło.

— Stoi drużyna i w pogotowiu czeka.

Ruszył Skarbimierz kazać sobie podać konia. Król zbroję poprawił, helm włożył, płaszcz mu na ramiona rzucono, na miecz, który przypiął popatrzał i wyszedł przeżegnawszy się z namiotu.

Noc straszliwie ciemna była, deszcz popruszał drobny, wilgotny wiatr kiedy niekiedy przesunął się po obozowisku, na szalaszach poruszając gałęzie.

Wyszedszy król ucha nastawił, rękę doń przykładając.

— Słyszysz? — odezwał się do Zemły.

— Nie, jeno obóz, który zawsze tak dysze, gdy usypia — odpowiedział zapytany.

— Nie, nie tak on dysze — rzekł król — oddech ten znam! Słychać zdala tentent powolnie idących koni!

— To stado nasze na paszy — rzekł Zemśla.

— Słyszę ja i stado — mówił król potrząsając głową — tentent to imy, mierzony, zgodny... Niespokojnie się obejrzał po swoich.

— Na konie! — rzekł stłumionym głosem.

Ręką wskazał i sam ruszył przodem.

Zaledwie kilkadziesiąt kroków oddalili się od namiotów, gdy w głębi gdzieś nocnej wyraźnie usłyszeli stąpanie koni, stłumiony brzęk żelaza, jak gdy się miecz z boku jadąc potrząsa i niby gwar jakiś głuchy. Król podniósł się na koniu i ucha nastawił.

— Pomorce idą na nas — zawołał — za mną! na nich!

Zaledwie się puścili z miejsca, gdy już na krańcach obozu, wśród ciszy nocnej odezwały się krzyki, zabrzęczały i świsnęły dobyte miecze. Pomorey wtargnęli między namioty i szałas.

Orszak królewski cwałem się rzucił w tę ciemność czarną jak otehlanie, szczęściem konie znały i czuły drogę, mijaly ogniska i barłogi i do-

padli na kraj obozowiska, gdy znaczny, jak się domyślać było można, oddział napastników na szalasy się wdarszy, zaczynał nspionych trutować i mordować zbndzonych. Ogromna wrzawa rozległa się po całej dolinie. Ludzie przerażeni zrywali się z pierwszów nieprzytomni.

Koni nie było pod bokiem, zbroi i broni omakiem szukać mnsiano, zamięszanie straszliwe szerzyło się z trwogą razem. Lecz Bolko już na karkach Pomorem siedział, którzy weale się nie spodziewając téj gotowości do boju, a ujrawszy nieprzyjaciela zbrojnego, natychmiast cofnęli się i uchodzić zaczęli przelękli, sądząc, że wpadli w zasadzkę.

Mały oddział królewski rozdarł się na dwie połowy, aby z dwu stron razem na nieprzyjaciela nderzyć. Noc sprzyjała obronie, bo liczby szczupłej Pomorecy nie mogli zobaczyć — strach ją podwajał.

Uchodzili napastnicy a lud tymczasem wybiegał z szalasów, chwyciwszy co znalazł naprędce, i w pogoń spieszył, poczuwszy, że nieprzyjaciel uchodzi.

Przed chwilą w śnie pogrążony obóz zakipiał, zawrzał, a starszyzna wprędce gotowa leciała pędem na pomoc Bolesławowi.

Sam on ze swoją drużyną ścigał uciekających z tą wściekłością, która go w boju opanowywała i której nie pohamować nie mogło.

Skarbimierz musiał zaskoczywszy przed konia za engle pochwycić i gwałtem niemal wstrzymać od dalszej pogoni, która na zasadzkę niebezpieczną zaprowadzić mogła... Bolesław gniewny na niego ledwie się dał ubłagać, aby do obozu zawrócił.

Tu zaraz po rozsypce Pomorców, pospiesznie zaczęto przygasłe rozniecać ogniska, obóz ciemny wprzód zaświecił czerwonymi dymy i płomykami, około których żołnierstwo się niespokojnie gromadziło. Choć niebezpieczeństwo już przeszło, zbroili się co prędzej ludzie, inni konie z pastwisk pędzili i uzdali. Krzyk, wrzawa, ale razem radość wielka ze zwycięstwa niespodzianego rozlegały się szeroko.

Noe nagle dniem się niemal stała. Wszystko było już pogotowiu do walki i wyzywało do niej.

Bolko znużony, hełm zdjawszy, wracał ku swoim namiotom, gdy Skarbimierz, który za nim pozostał był nieco, nadbiegł zapowiadając, że jeńca jakiegoś wziętego Pomorem prowadzono. Wedle wszelkiego podobieństwa, miał to być któryś z dowódców wyprawy. Z nim kilku ze starszyny także zabrano.

Król tak był rad temu, że ezujnością swą zbawił wojsko od klęski a siebie od sromu, że o niczem nie myślał, prócz by Bogu za jego opiekę dziękować.

Jak świt kapelan miał mszę dziękczynną odprawić.

Po drodze spotykający pana żołnierze, witali radosnemi okrzykami, śmiejąc się i podnosząc do góry zapalone gałęzie smolne, aby mu przyświecić.

— Bóg miłościw z nami! — wolano wedle zwyczaju.

— Bóg z nami! — wtórowały gromady.

Przeprowadzony przez swoich wiernych wszedł król do namiotu, a za nim pacholę, które spieczyło, aby zbroję porozpinać i od ciężaru go uwolnić. Na hełmie znać było cięcie jedno, które się po nim ośliznęło, na piersi też zgięta była zbroja od uderzenia oszczepem, lecz Bolko nie czuł się rannym, nie wiedział nawet o tych razach i rozpromieniony weselił się, szydząc z tych, co mu wycieczkę odradzali.

Do namiotu ściągając się za nim poczęli dowódcy, wszedł i Żelislaw Złota-Ręka, lecz nagniewany i chmurny.

Z twarzy jego Bolko, który go znał dobrze, wyczytał troskę jakąś i niepokój.

— Coż ty mi przynosisz? — zapytał.

— Niesmaczną rybę, którąśmy po nocy złowili! — zawołał Żelislaw — bodajby z nią raz był koniec przecie.

— Jaką rybę? coć jest? — pytał król.

— Ujęto w całej zbroi rycerza, który się zrazu



rozpaczliwie chciał bronić a nie zdołał. Ten to jest, który tu Pomorców prowadził.

— Przemko? czy zdrajca Gniewomir, któremu był ojcem chrzestnym? — spytał żywo Bolko — który z nich?

— Gorzej niż jeden z tych dwu — odczwał się Żelisław. — Boża prawica dała nam go w ręce, a dziś i O. Marcin nie będzie za nim śmiał rzec słowa!

Rzucił się król.

— Co mi prawisz zagadki!

— Zbigniewa, nie kogo innego na czele Pomorców uciekającego wzięto do niewoli.

Król osłupiał, opadły mu ręce, wszyscy z podziwienia krzyknęli.

— Możeż to być? — odczwał się Bolesław — niedawno mi uroczyście przysięgał!

— A dziś go ujęto jako zdrajcę! godzącego na nas i na życie wasze — rzekł Żelisław. — Mamy go w ręku, szkoda że żywym.

Bolkowi jakby lza zakręciła się w oku, szlachetne serce czuło litość nad tak nisko upadłym człowiekiem.

Obstąpili króla dowódcy.

— Życie niech da! dosyć tego! — począł Żelisław.

— Miłościwy panie — dodał Skarbimierz — jeżeli mu i teraz przebaczycie a puścicie go wolno, rzeczymy wszyscy, że nie ma u króla spra-

wiedliwości! Cóż będzie dla dobrych, gdy dla złych jest takie pobażanie!

— Wszyscy my ilu nas jest — dodał inny — domagamy się nań kary. Dość krwi nas kosztuje, oślepić go, albo niech szyję da. Nie ma z nas jednego, co by mu rany jakiej nie był winien! a wielu poginęło przez niego!!

I wszyscy zgodnie poczęli wtórować.

— Zgnbić to złe zielsko! nie żywić go, niech ginie!

Bolko słuchał zaszepiony.

— Do jutra, do rana — rzekł krótko.

Spojrzeni nań dowódcy, na twarzy malował się frasunek, odprawił ręką przybyłych, a gdy wyszli pokłakł na modlitwę i słyszano jak jęczał trwając na niej długo. O świcie msza święta z dziekczynieniem odprawić się miała, czekano na nią i nikt o śnie nie myślał. Gwarzono o osobliwej tej nocy przygodzie.

Dnić nareszcie poczynano. Że deszcz pruszył ciągle, ołtarz podróżny wystawiono pod namiotem, odchyliwszy ze wszelich stron ściany, aby wojsko dokola stojące celebrującego widzieć mogło. Król pokłakł i na kolanacli mszy całej słuchał pobożnie.

Śpiewano potem pieśni, odmawiano modlitwy, obrzęd się nierychło skończył.

Okolo króla gromadziła się starszyczna niespokojna, szczególnież rycerstwo krakowskie, które Zbigniewowi zdrad jego i nieczemności przeba-

czyć nie mogło. Czekano tylko, aby Bolesław powstał, gotując się nań nalegać o przykładne ukaranie jawnego winowajcy.

Skarbimierz i kilku innych znikło i nie pytając o rozkazy kazali więźnia prowadzić przed pana. Srogi był widok tego człowieka idącego z wilezym wzrokiem, z twarzą trupią, bladą, z usty zaciętymi, ociągającego się, przerażonego, mściwej, bezsilnej złości pełnego.

Miał jeszcze na sobie zbroję, w której go pochwyciono, bo mu jej zdejmować nie dano. Po bokach za nim i przed nim szli pacholcowie z oszczepami i ci co go uchodzącego pochwycili.

Pochód przez obóz już dlań był karą. Ścigano go obelgami, uragowiskiem, przekleństwami, śmiechami, podchodzili doń żołnierze pięści mu do twarzy podnosząc, znęcano się nad nim bez litości. Gdyby nie ludzie co go otaczali, padłby pewnie ofiarą zjadłych i rozwścieczonych.

Gdy się ukazał we drzwiach namiotu, Bolko spojrzał nań oczyma gniewnymi.

— Śmierci godzin jesteś! — zawołał — śmierci, przechero! Dawnoś to o łaskę prosił i przysięgał?

Zbigniew coś zabełkotał, czego dosłyszeć nie było można.

Wszyscy zamilkli, czekając ażali co odpowie. Zaczął wreszcie niepewnym głosem.

— Głupi ludzie! mnie, ja, w pogoni chwyciono! Gonilem z niemi! Cóż za wina! Gonilem!

Skarbiemierz nie mogąc znieść bezczelności tej, przystąpił doń wściekły i trzęsąc się z gniewu.

— Jak śmiecie to mówić! — krzyknął — ujęto was, gdyście zagrzewali uchodzących do powrotu, z pośrodku Pomorców!! Broniliście się naszym, cięliście jednego.

— Kłamstwo! potwarz! złość, oszezerstwo bezeene, po lłość! — począł ośmielając się coraz Zbigniew, który patrząc na brata odwagi nabierał. — Chciano mnie zgubić! Podstęp jest!

Stojący za nim poczęli krzyczeć oburzeni, podnosić ręce groźnie i odgrażać się. Bolko rozkazał im milczenie i skinął, aby się rozstąpili. Nie odpowiedział jednak nie wzgardziwszy kłamstwem czywistém.

Zdala podnosiły się głosy, zrazu ciche, potem coraz lueczniejsze.

— Śmierć zdrajcy!

— Na gałąź z nim!

— Oczy mu wylupić!

Zburzenie było niezmierne.

— Czy to syn króla, czy niewolnika — zabijał ktoś z dowódców — jako zdrajca winien jedną ponosić karę. A co zdrajcom bywa?? Niech trzy razy ze psem na rękę obejdzie targowicę, niech mu oprować utnie brodę i precz z nim z ziem naszych, a gdy wróci na pień głowa <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Kara ta starosławiańska, w Czechach była naówczas w obyczaju.

Inni wprost wołali.

— Śmierć mi! śmierć!

Polko stał z oczyma w ziemię wlepionemi.

Zbigniew zaognionym wzrokiem oglądał się dookoła. W chwili gdy wrzawa ustała nieco, począł wołać.

— Na sąd Boży się zdaje! Sąd Boży! oczyszczę się!

Niewiele nawet ze starszyny znało obyczaj ten zachodni Sąd Bożego. Król jako należący sercem do rycerstwa, szanował wszystkie jego prawa. W takiej walce dla oczyszczenia się tkwiła myśl, iż Bóg niewinnemu w pomoc przychodził.

Znaczniejsza część dowódców śmiechem powitała to żądanie, ale król się odezwał.

— Kto przeciwko niemu wystąpi na Sąd Boży?

Z pomiędzy starszyny nikt ani myślał mierzyć się ze zdrajcą i człowiekiem pogardzonym. Prostý żołnierz Bondrych wyrwał się z gromadki opodał stojącój.

— Ja pójdę! — zawołał podnosząc rękę.

Człek był szczupły, mniejszy, słabszy nawet na pozór od rozłosłego, opasłego, grubych kości i silnych członków Zbigniewa, ale z twarzy jego widać było żołnierza, zajadłą taką pijawkę, co gdy się komu przypije do boku, już go nie puści. Spojrzawszy nań i na Zbigniewa, ze wzrostu i siły księcia było można łatwe wróżyć zwycięstwo. Sam on tylko zwątpił widać o sobie, bo

wyzwawszy na Sąd Boży, z przyjęciem go się ociągał.

Śmiechy i przedrzwiewania słychać było szyderskie w koło, co go jeszcze onieśmiewało.

Zwyczajem było, że kto stawał na sąd ów, czy przez walkę, czy przez żelazo gorące lub inną próbę jaką, wolno mu było wprzód spowiadać się i przystąpić do ołtarza. A że Bolko pobożnym był, gdy Zbigniew chcąc na czasie zyskać mruknął, iż o księdza prosi, skinął, by kapelana wezwano.

Pilnowano go jednak obstąpiwszy ciasno do kola, w obawie, aby konia dopadłszy, z rąk się im nie wydarł. Na krok nie odstępowali pachotkowie, a za nimi tuż dozorując szła starszyna, nie spuszczać jeńca z oka.

Bondrych też do spowiedzi oświadczył się gotowym.

Smutny i zgryziony powrócił król do namiotu. Czuł że od niego wszysej się będą domagać surowej kary, a krwią braterską, choć ten winowajcą był, mazać się nie chciał. Na duszy bolał i smutek się.

Ksiądz tymczasem przybył i zasiadł do wysłuchania spowiedzi. Nim ją rozpoczął Zbigniew, wiedząc jaki wpływ na króla mają duchowni, próbował nując kapelana obietnicami wielkimi, groźbą skargi do arcybiskupa, prośbami wreszeć i zakłecianmi. Ksiądz zbył go zimno, odpowiadając,

że spowiedzi słuchać przybył a nie sprawy, która doń nie należała.

Natenczas trwoga opanowała Zbigniewa, który ledwie mógł się zebrać na odpowiedź i bezprzytomny odszedł po rozgrzeszeniu.

Czekano już nań. Bondrych stał w gotowości, cały we zbroję odziany, w hełmie, z włócznią długą, konia trzymając w ręku. Drugi też stał pod Zbigniewa. Tłum ogromny cisnął się dokola. Ponieważ na dworze i w wojsku turnieje na tępe włócznie i inne rycerskie zapasy często się odbywały, do tego stareia też umiano wnet wszystko przysposobić jak było potrzeba. Zabito koły, zaciągnięto sznury, aby miejsce opasać i uczynić wolnem.

Dwa woźnych stanęło po bokach dla strzeżenia, aby walka odbywała się bez podstępu i wedle obyczajów.

Zbigniew widomie ducha stracił, nie mówił, z oczyma spuszczone mi czekał wpół martwy. Włócznie jedną, którą mu podano, odrzucił, przyniesiono drugą, i ta była mu nie do ręki. Po długim wzdraganiu się, trzecią nareszeie ujął. Kon mui się wydał niedobrym, przyprowadzono innego. Rachować się zdał na coś, oczekiwać, zwlekać, próbując czy się sprawa w inny jaki sposób nie rozwiąże.

Spoziernął w kolo, nie jawiło się nic, ezas upływał.

Bolko, aby lepiej walec się przypatrzeć, stanął też za szrankami konia, u boku.

Wozni po trzykroć znak dawali. Przeżegnali się oba waleczyć mający, Zbigniewowi ociężałemu pacholcowie konia dosiąść pomagać musieli.

Bondrych pierwszy w szrankach zajął swe miejsce i czekał na przeciwnika. Leniwie zwłókł się książę na stanowisko. Po raz czwarty wozni okrzyknęli dając znak uderzenia.

Puścił się Bondrych z włócznią podniesioną na Zbigniewa, który swoją też dźwignął nieco i konia ubódl ostrogą. W pierwszym tém starciu uderzył Bondrych księcia we zbroję. Zachwiał się dotknięty, ale że ciężki był i silny, w siedzeniu się utrzymał, włócznią swą nawet nie trafiwszy przeciwnika.

Ze włócznicze obie całe pozostały, rozjechali się z niemi, aby po raz drugi nderzyć na siebie.

Niebezpieczeństwo jawne zmusiło nareszeie księcia do obrony. Życie ratować mnsiał. Puścił się pędem wielkim, lecz w drodze natknął się na włócznię Bondrycha, która góram idąc helm mu z głowy zdarła.

Od ciosu tego zachwiał się jeździec, koń pod nim spał i Zbigniew na wznak runął na ziemię.

Okrzyk ogromny rozległ się dokoła.

Nim Bondrych miał czas nań poskoczyć, Zbigniew porwał się wylękły i za miecz chwycił.

Starli się teraz pieszo. Walka była nierówna,



bo książę do robienia żelazem nigdy nie miał zręczności, siłą tylko namagał. Ciał po hełmie przeciwnika i do drugiego razu się zamierzał, gdy ten tak silnie w ramię prawe go uderzył, że Zbigniew zachwiałwszy się, ośliznął i padł na ziemię.

Bondrych już mu na piersi oparł kolano i mały mieczyk od boku dobywszy, zabierał się pełnać go nim między blachy zbroi, gdy Bolko krzyknął, iż walki dosyć było, aby Sąd Boży się objawił. Woźni rzucili laskami na znak, że się sprawa skończyła.

Zbigniew z głową obnażoną, oczyma krwią nabiegłemi, leżał rękami grzebiąc w piasku i usiłując się dźwignąć, wołał głosem rozpaczliwym.

— Życiem daruj! okup dam!

Z pogardą i wstrętem odwrócili się wszyscy od niego. Bondrych puścił go rad nie rad, mieczyk do pochew chowając.

Bolko skinął nań, aby się przybliżył i wzięwszy łańcuch od Skarbinierza, na szyję mu go zarzucił.

Pacholków potrzeba było znowu, aby z ziemi podnieść wylękłego i potluczonego Zbigniewa, który o niczem już nie myślał, tylko, by jakimkolwiek kosztem ocalić życie. Właśnie gdy się to działo w szrankach, Bolkowi gońcy wysłani na przepyty, wrócili i przywieźli z sobą pochwycenego człowieka. Prowadzono go przed króla. Zbi-

gniew podnosząc się zobaczył jeńca, i zdjęty trwo-  
gą nową, trząść się poczał cały.

Przy wysłaniu tym, który do drużyny jego  
należał, znaleziono w kaftan wszyty kawałek karty  
pargaminowej, list pod pieczęcią książęcą.

Przywołany kanclerz odezwał go Bolkowi. Za-  
warte w nim były skazówki dla nieprzyjaciół jak  
i gdzie na króla napasć mieli. Dowody zdrady,  
gdyby jeszcze potrzebne były, mnożyły się endo-  
wnie, dla potępienia Zbigniewa. Trzymając kartę  
w ręku, kazał Bolko przywieść brata przed sie-  
bie, a gdy się wybladły zbliżył, potrząsł nią nad  
głową jego i rzucił z gniewem pod nogi.

— Wzywałeś Sądu Bożego świętokradzko —  
zawołał — gdy jawna jest niepoczeiwość twoja!  
Bóg i ludzie cię osądzili!

W tém dokola z wrzaskiem zawołano po kil-  
kakroć.

— Głowę dać winien! Nie żywić go! zabić!  
zabić!

Jak nieprzytomny, chwycając się na nogach  
stał Zbigniew nie odzywając się już. Karta jego  
własna świadczyła, że z Bożego Sądu uczynił  
igraszkę. Na gardło mu godzono, siły w nim om-  
dlewały, wołanie krwawe w uszach tętniało, zda-  
jąc się co chwila grozić śmiercią.

Król stał gniewny, lecz zarazem hamując się  
widocznie. Ci co go znali, po ruszających się  
zwohna wargach poznali, iż modlitwę odmawiał,

którą mn zalecił był kapłan, gdy nim niepomier-  
ny gniew owładał.

Zdrajca strwożony pokłękł, a rączęj upadł na  
kolana przed nim. Wyciągnął ręce.

— Bracie! jedna krew w żyłach naszych pły-  
nie, zlituj się nademną dla pamięci ojca! Życie  
mi daj! Pójdę ztąd precz, nie chcę nie! Bierz  
wszystko, zostaw życie!

Mówił to głosem jękliwym, lecz głuzyli go  
stojący tuż Żelislaw i inni, wołając.

— Nie będzie zdradom końca, dopóki on żyw!  
Zadławić go!

Śmierć! śmierć przecherze!

Im król w większej stał niepewności i skłon-  
niejszym się zdał do zmiłowania, tём starszyzna  
głośnieij się burzyła.

— Nie obronim ziem naszych — mówił Skar-  
bimierz — puściecie go. to się do Czech powlecze,  
spiskować z Swiatoplugiem, pójdzie wiehrzyć na  
Węgry, do Cesarza. Nie będzie pokojn nigdy!  
Zwyciężony, poskromiony, ściąć go dać!

— Oczy mn wziąć — wołali litościwsi.

— Zamknąć go do ciemnicy na zawsze.

— Na galęz ze zdrajcą!

— Na pień z nim!

Buchaly dokola takie gniewy, taka namiętność,  
że król nie mógł wyrzec słowa, głužno go. Cze-  
kał, aby się wyburzyła złość i skinał, aby Zbi-  
gniewa odprowadzono do namiotu Żelislawa.

Ciągnięty przez pacholków, chciał się ku bratu rzucić Zbigniew, lecz Bolko cofnął się żywo i nie patrząc nań poszedł ku namiotowi. Gromadą wszyscy za nim pociągęli.

Pięć lat ciągłych zdradzieństw i niepokoju przeprowadzały ich do rozpaczey; wszyscy dowódcy domagali się kary, wojsko całe z krzykiem im potakiwało. Noene owo najście z Pomorcami najskłonniejszych nawet do powolności, oburzało.

Thinem otoczono Bolka powtarzając.

— Nie żywić go!

— Bondrych nie pytając, gdy go w mocy swój miał, dobić był powinien.

Bolko miał czas nieco ochłonąć. O zdradzie powątpiewać nie było podobna, jawną była, a jednak litościwe serce na krwi braterskiej przelanie się wzdrygało. Pot lał mu się z czoła, walczył z sobą znekany.

— Czas mi dajcie do namysłu — odezwał się ręką wskazując wyjście. — Chcę być sam!!

Wiedzieli wszyscy, co to znaczyło; rycerskiego ducha, ale nieokrutny król, gdy krew inaczéj jak w boju przyszło przelewać, nigdy nie wydał wyroku bez porady ojca duchownego. Żadnego z biskupów nie było pod ten czas w obozie, krom jednego prałata, Franczena rodem, Ojca Septyma, człowieka wielkiego rozumu i nanki, lecz niepo-miernéj surowości. Szanował go król na równi

z biskupami, i nie wątpiono, że mu jedna ze stolic się dostanie.

Domyślili się wojewodowie, po co szedł dworzanin królewski i na drodze na O. Septyma oczekiwali. Obstąpili go przybywającego.

Skarbinnierz pierwszy doń przystąpił.

— Znacie — rzekł — ojeze mój, wiecie co się u nas dzieje. Król się waha i skłania do przebaczenia. Radzié się was będzie, nie doradzajcież mn, aby dla łotra tego laskawym był, a dla siebie okrutnym.

O. Septym mileząco po nich poglądał. Ujął w ręce czarną suknię swą i ukazał ją mówiącemu.

— Widzicie — rzekł — kapłanem jestem, surowości doradzać nie mogę. Nie godzi mi się. Wiecie, co napisano o przebaczeniu nieprzyjaciółom. Przeciwno słown Bożemu żadna ludzka mądrość nie waży. Uczynię, com powinien. Wyście ludzie żelaza — jam człowiek miłosierdzia.

— Litujcież się nad ziemiami temi, na które dzikiego zwierza wypuścicie! — zawolali otaczający.

O. Septym nie mówiąc nic ręką ich przeżegnał i poszedł do króla, który u wnijscia do namiotu stał oczekując nań z niecierpliwością.

— Ojeze miły — zawolał — uspokójdźcie sumienie moje. Domagają się na brata mojego śmierci wszyscy. Zdrada jawna, wina wielka, ale bratem mi jest, krew ojca w nim plynie, mazać się nią

nie chcę. Kainem być nie mogę. Co czynić? co czynić mam?

— Co każe sumienie — odparł O. Septym. — Rozum ludzki głupi jest a sumienie rozumne. Czyń co ci Bóg natchnie. Surowym każe ci być dla winnych, ale przebaczenie obłąkanym zaleca.

Do łaski go przywracać, ziemie mu nadawać byłoby niebezpieczeństwem, ale życie ocalić godzi się. Coż on sam, bezbronny, wygnany uczynić ci może?

— Spiskować będzie z nieprzyjaciół — rzekł król.

— A bez niego będąż oni przyjaciółmi twemi panie? Przyniesież on im siłę? — spytał kapłan.

— Radzicie mi i poleccacie miłosierdzie — odezwał się król oddychając łzami i z radością na twarz, całując księdza w ramię. — O! ulżyliście mi ulgą wielką, wy jedni odezwaliście się po Bożemu! Niechaj żyje, niech idzie gdzie chce! Dziękuję wam!

Ojciec Septym uśmiechnął się patrząc na króla i głowę przed nim skłonił.

Siedli oba na dłuższą rozmowę. Dokola namiotu przechadzający się wojewodowie czekali niecierpliwi i gniewni, spoglądając ku wujkowi.

Trwało to dosyć długo, gdy pożegnany w progu wyszedł nareszcie Francuz, a król z twarzą rozjaśnioną ukazał się podnosząc zasłonę. Przystąpili doń oczekujący z oblicza już wnosząc, że nie po ich woli się stanie.

Zwrócił się król do Skarbimierza.

— Wojewodo mój — rzekł — nie miej żalu do mnie, czém Bóg mnie natchnął to uczynię. Nie przystało wam nalegać, abym okrutnym był.

Z życiem niech idzie precz. Do granicy niech go wiodą i wyżeną.

Szmer powstał i zburzenie między słuchającymi, nie śmiał jednak nikt głosu podnosić.

— Jest w mocy mojej — dodał król z powagą, która już żadnego oporu nie dopuszczała. — Wola moja taka. Życie mu daję. Tak niech będzie.

Uciehło, smutek obłókł twarze. Milezenie trwało chwilę.

— Wy, miły mój — zwrócił się król do Skarbimierza — oznajmicie mu wolę moją. Dacie do granicy ludzi bezpiecznych, aby mu się nie stało.

— Ku jakiej granicy? — spytał powołany.

— Niech idzie gdzie chce! — dodał król.

Zaszemrano znówu, król spojrzał bacznie, uciehli.

Skarbimierz poszedł do namiotu, w którym więźnia trzymano i powrócił wprędce, bo długo z nim obcować nie chciał.

Zbigniew się domagał bratu za życie dziękować.

— Ani podziękowania, ani zgody, ani widzieć się z nim nie chcę — rzekł król.

Zapytany, czy miał prawo ludzi zabrać z sobą i ze skarba część jaką, Bolesław rozkazał drużyny mu nie przeczyć i skarbiec oddać cały.

— Niechaj ma z czego żyć — dodał — lecz

niech uchodź z mieniem, aby mi nie przekupywał ludzi i nie wiódł ich na pokuszenie.

Tak się skończyła sprawa Zbigniewa, ocalonego, gdy o życiu już zwątpił, miłosierdziem pobożnego brata.

Skarbimierz, któremu polecono spełnienie woli pańskiej, nie dopuścił gości długo Zbigniewowi w obozie. Z kilką ludźmi odprawiono go natychmiast ku granicy czeskiej, skarbiec i drużynę wysłać za nim obiecując.

Z trwogi, co go bezprzytomnym prawie czyniła, Zbigniew natychmiast prawie przeszedł do nadzwyczajnej radości i szaleń, odzyskał dumę, szyderski śmiech i postawę dumną. Nie śmiał się odgrażać jeszcze, lecz wejrzenie jego mówiło, jakie miał myśli i zamiary. Jechał do Czech, gdzie pewien był gościnnego przyjęcia, wiódł nienawisć swą, jaką taką znajomość kraju i położenia i nieublagane zemsty pragnienie. Na chwilę nie wątpił nikt, iż oswobodzony knować będzie, szukać środków odzyskania co utracił.

Oprócz Czechów, Cesarski dwór, na który chronili się wszyscy wichrzyciele i pretendenci, mógł mu dać schronienie.

Powracający od granicy ludzie, co go przeprowadzali mówili, że im pięścią ściśniętą groził, obiecując prędkie przybycie.

---



## V.

Jak do dźwigania wielkiego gmachu granitowych słupów potrzeba, tak na czasy ciężkie bark ludzi kamiennych, którzyby się pod niemi nie ugięli. A były to czasy, w których nikt pokoju nie zażył, chyba nocą na świeżem pobojowisku.

Gdzie spojrzeć było nieprzyjaciół stał, a przyjaciel i sprzymierzeniec dzisiejszy, jutro się na wroga zamieniał.

Na te dnie czuwania nieustannego mężem przeznaczonym był Bolko, i ludzie ci co przy nim nauczyli się być mu podobni.

Pomorze wojowano i zawojowywano, a naza-jutrz ochrzczeni poganie, występowali przeciwko ojcom chrześniym. Tak ów Gniewomir szedł na Bolesława, aż póki go jako zdrajcę kijmi nie ubito. W Czechach rządził bojowniczego ducha

jednooki Światopług, do którego Zbigniew się schronił. Z jego oddziałami wpadał zdrajca na Szląsk, zgromiony nieckał, lecz spokoju nie dawał. Nie wojnę z nim, lecz nienastanne napady cierpieć musiano, za które wzajemnemii placil Bolko. ogniem i mieczem pustosząc pogranicze.

Poprzednik cesarza Henryka V., który wyzwaczył z władzy ojca własnego, koronę jego odziedziczył, w gniewie na Polskę dał to królestwo, którego nie miał, czeskiemu królowi. Wkrótce potem odebrał mu je, choć do rozporządzania nim nie miał innego prawa nad urojoną zwierzchność nad całym światem. Cesarstwo rościło sobie do Polski, że mu winną była dań i posłuszeństwo. Szcześnie Henryk V, jak jego poprzednicy, Włochy, Niemców, Sasów i Bawarów miał ciągle na barkach. Podnosili się oni tak przeciw niemu, jak on niegdys na ojca. Musiał też papieżów stanowić i składać, a z klątw kościelnych, któremi był okryty się wyzwalać.

Nie miał więc czasu iść na Polskę. Teraz dopiero pora nadeszła dopominania się u niej posłuszeństwa.

Zbiegły do Czech Zbigniew, niewiele się tu mogąc spodziewać, z Pragi ndał się do cesarza Henryka V, jak inni ofiarując mu daninę, podległość, zapłaty, byleby mu do korony dopomóżono. Za pieniądze naówczas kupowano u cesarza królestwa, za czeskie zaplacił był wprzód

Borzywój, Bolka sprzymierzeniec, potem Światopłg dziesięć tysięcy grzywien, które zdarł z żydów, z ludu, z duchowieństwa tak, że w Pradze potem kawalka srebra ni złoła nie pozostało, i wypłacić mu się było niepodobna. Na Zbigniewa przyszła kolęd, jeżeli nie płacić, to obiecywać grzywny za Polską koronę.

— Idź miłościwy panie na Polskę, mówił zbieg, idź a pobijesz ją łacno. Lud cały nienawidzi Bolka, rad będzie się z pod jego żelaznej rękawicy wyzwolić. Pójdą wam w pomoc Czechy, mam i ja tam swoich, którzy na dany znak do nas przybiegną. Padnie jak owoc dojrzały cała ta ziemia w ręce wasze, ja wiernie z niej służyć będę cesarstwu.

Nie miał jeszcze spokoju z Pomorzem Bolko i oblegał Nakło, gdzie endowne w dzień świętego Wawrzyńca odniósł zwycięztwo nad rozpaczliwie i zajądłe broniącemi się pogany, trupem ich ścieląc kilkadziesiąt tysięcy, gdy już znudzonym bojem panu, gońce wieść przynieśli, że cesarz Henryk V, z czeskim Światopługiem i Zbigniewem, z siłami wielkimi ciągną na niego.

Zbigniew był głównym podżegaczem, wywdzięczał się za dane mu życie.

Wojsko zwyciężkie choć miało ducha, potrzebowało pokrzepić się spoczynkiem, wojna nowa wymagała czasu do przygotowania. Nie tyle może potęga cesarza, jak urok jego imienia był

straszny. Zdało się, że ostatnia wybiła godzina, ale Bolko miał Skarbinierza i wierną swą drużynę, nie uląkł się też i nie ugiął.

Cesarz z drogi wysłał listy do króla. Nazywał go w nich tylko: „żołnierzem swoim“ jakby wasalem i hołdownikiem, żądał wojska w pomoc lub trzechset grzywien rocznej daniny, a działu ziemi dla Zbigniewa.

Gdy listy te na zebranej radzie przy królu książdz kanclerz odczytał — zuchwale a dumne, dla nstraszenia i wyzwania napisane, stali długo niemi wojewodowie, Skarbinierz, Magnus i inni. Król marszcząc brwi patrzył po nich. Rany się jeszcze po Nakle nie zagoiły i ręce nie wypoczęły.

Mileżała rada bo dla odwrócenia tej groźby nie wiedziała co poczynąć, a niejeden w duchu może powiedział sobie: — zagodzić sprawę i grzywuy zapłacić!

— Miłościwy królu — przemówił Spicymierz stary — czy to ludziom niewiadomo, jak się z cesarzem zalatwiają sprawy? Kupił ci go był Borzywój, a przekupił Światoplug, kupowali go sobie inni. Za pieniądze u Niemca dostanie wszystkiego, zgody nawet i pokoju. Zręcznego człeka posłać, kilka tysięcy grzywien znajdziemy w domu, zatknijemy mu głowę i Zbigniewa zdrajcę porzuci.

Oburzyli się inni, potrząsając głowami.

— Takżeśmy to już zrozpaczyli o sobie? — odczywał się król oglądając do koła.

— Cesarz! — rzekł Spieymierz — cesarz ci to jest! Niemców ma wszelakich z sobą, Włochy i lud różny, Sasów, Franków, Bawarów, Czechów, a myśmy sami jedni, bo Ruś choćby chciała nie rychło nabieży. Koloman też mało albo nie nie pomoże.

Inni radzili do Zbigniewa stać za pośrednictwem areybiskupa, znownu mu ofiarując Mazowsze.

Drudzy do Światopługa chcieli się udać, sprawy Borzywoja się wyrzekając, którego król na trou prowadził.

Rady były rozmaite. Niestało już w Czechach możnych Wrszowców, którzyby się teraz byli przydali królowi. Ostatni z nich zbiegli do Polski, a innych krwawo, nielitościwie wyrzezano.

Za przekupieniem cesarza najwięcej obstawało. Król słuchał, bawił się pasem swojego miecza i milczał.

Z twarzy mu mogli wyczytać, że ani się wykupywać nie zechce, ani ukorzyć. Gdy wszyscy się uciszyli, podniósł głowę i głos zabrał Bołko.

— Mili panowie moi — rzekł — wojskn cesarskiemu i Czeskiemu wstępnym bojem nie podołamy. Ale czyż tylko na ten jeden sposób wojować można? Nauczyli nas Pomorcy, a i dawniej nieraz bywało za króla Bołka Wielkiego, żeśmy się obraniali, jako psi niedźwiedzia z bo-

ków urywając nieprzyjaciela. Rozumny moloss ani niedźwiedziowi z przodu na pazury, ani dzikowi pod kły nie idzie; chwytą go i drze, kędy może. Tak i my uczyniemy z cesarskim niedźwiedziem.

Na wielki bój mało nas, na doleganie napastnikowi siła. A oto i jesień kroczy, a kraj im obcy. Niech idą, niech próbują, a do głębi się weisną, zobaczymy co czynić mamy. Lasy i błota sprzymierzeńcami nam będą.

W Bogu nadzieją, nie pożyją nas, a ujdą li z życiem? niech się z tego cieszą.

Skarbmierz jeden zamruczał.

— Święte słowa! — inni frasobliwie spoglądali.

Król trwał w swoim bez namysłu, narazie kanclerza wezwać kazał i list na list odpisać tym samym zuchwałym duchem, jakim wyzwanie cesarskie pisane było.

— „Chcecie daniny albo ludzi naszych wojennych jako daniny? przecz, że to i zacz dawać mamy? aliści i baby się nawet bronią, gdy je napastują, coż dopiero mężowie? Zdrajcy, co spiski knował, nikt mi nie narzuci, ani siłą mi go może wprowadzić na ziemię moje. Pieniędzy i żołnierzy nie wam, ale dla sprawy kościoła rzymskiego dalbym zaprawdę, ale nie z nakazu i pod grozą. Zechcesz wojny, będziesz ją miał.”

Wieść chodziła po świecie, a duchowni naówczas przez swą bracię zewsząd mieli posłuchy,

że cesarz odpowiedź tę odebrawszy, z gniewu wielkiego straszliwie się zaklął, iż choćby niewiedzieć wiele ludu miał stracić, pomści zuchwalstwo, i do posłuszeństwa przymusi.

Bolko się już nie spodziewał czego innego, tylko wojny; póki czas, zamki opatrywano, osady w nich pomnażano, ściągano ludzi, król nie odpoczął na chwilę, nie odetchnął. Czekano.

Gońce szli od granic. Oto idą, oto już ciągną.

Straszono, że jak mrowia było rycerzy przy cesarzu. w żelazo od stóp do głów okutych, że na kopytach ziemię rozniosą.

Bolko ze Skarbimierzem staćeli w lasach. Wierne posły krążyły wszędzie i znać dawały.

Jesień już była późna, gdy dano znać do obozu króla, że cesarscy i Czesi granicę przeszli i w targnęli na ziemie szląskie, a Zbigniewa widziano jako przy cesarzu nieustannie był ze swą gromadką służąc mu za przewodnika.

Henryk V spodziewał się u granicy z wojskami Bolesława spotkać i stoczyć bitwę. Żołnierz jego ciężki, uzbrojony potężnie, daleko lżej zbrojnego żołnierza polskiego zgnieść mógł łatwo. Śmiano się zawczasu z tych na pół nagich ludzi, których jak wróble na żelazne dzidy nadziewać miano. Po drodze cesarzowi przypadł naprzód Bytom, ale ten warowny był, zaniknięty, moeno opasany dokola; długoby się o niego dobijać przyszło, chcąc zdobywać. Oblewały go zewsząd

wody, otaczały moczary, broniły wieże i mury.

Stańło tu niceo wojsko. Zbigniew wysłał od siebie ludzi, Mazurów swych, aby do poddania mu się sklaniali.

Gdy się ku murom posłańcy zbliżyli, ujrzeli na nich siła stojącego ludu.

— Nowego wam pana prowadzi cesarz z siłą wielką — wołali posłowie — przyjmiejcie Zbigniewa niechcecie li srogo karani być, otwierajcie wrota!

Ktoś z murów rozśmiał się śmiechem szerokim.

— Hej! hej! — krzyknięto — niechże przybywa ów nowy pan, abyśmy go oglądali. Pan, którego cesarz niańką, strasznym być musi!

Śmiano się z za murów, szydząc, a posły Zbigniewa Marko i Benuo choć lajali i straszili, nie przynieśli nic oprócz śmiechu...

Cesarscy panowie zamku ciekawi, kraju i obyczaju, podjechali przyglądać się pod bramy. Nie śniło się im nawet, by w obce cesarskiego obozu ktoś ich śmiał napadać, gdy w tém otwarły się wrota, wypadła lekko zbrojna szłazaków gromadka, jako do płasów idąc ku nim z okrzykami.

Niemcy szli z tarczami w pancerzach, tamci w kaftanach prostych z małym orężem, napaść ich jednak stwożyła niespodziana i cofnąć się byli zmuszeni.

Cesarz Henryk patrzył na to z konia, wyjechawszy z obozu i ogarnął go gniew wielki. Ski-



nał na tych, co przy nim byli z kuszami i łukami aby beltami i strzałami w pomoc spieszyli lekko-myślnym. Padło już kilku Niemców, zasepił się mocno cesarz i odstąpić kazał.

Zbigniew do krwi usta kąsał, gdy posły jego powróciły z próżnemi rękami i nosy spuszezonymi. Cesarz się doń zwrócił.

— Na imię wasze nie zważają coś wiele? — odezwał się szydersko. — Nie znać w nich ochoty, by się wam poklonić i przyjąć za pana?

Podjechał książę do cesarza z pokłonem.

— Najmiłościwszy panie — odparł — co za dziw? Dzielnica to nie moja, najwierniejszy lud Bolka, Szlązacy jego. Dalej gdy pojdziemy, inaczey się okaże.

Cesarz pozostał chmurnym. Ci co otaczali dworem wielkim Światopług, hrabiowie Waack i Detryszek, bronić poczęli Zbigniewa, wygadując na Szlązaków.

Wycieczka nieco szalona Bytomiaków na tém się skończyła, że z jednego bliżej powalonego Niemca zbroję zdarli i okrzykując zwyczajtwo do bram z nią powrócili. Taki był początek sławnej wyprawy cesarza Henryka.

Wszystkim sposepnily twarze, Światopług choć stronę Zbigniewa trzymał, nie okazywał się od drugich weselszym. Postrzegł dnia tego już zbieg, iż się doń chętniej plecami niż twarzą obracano. U przeprawy przez Odrę ezuwał Bolko.

Lasy naówczas niemal cały kraj gęsto przetrzynały, wód też i błót więcej było i szerszej rozlanych niż dzisiaj. Wszystkie gościńce leśne wczesnie pozawalano kłodami drzew podrabianych, na moczarach pozrywano bacie, na strumieniach porzucano mosty. Na czatach stał najdzielniejszy ułamek Bolesława, który miał póty bronić przeprawy, póki by posiłki dlań nie nadeiagnęły.

Sam król w pewnej odległości od Głogowa się ustawił w miejscu bezpiecznym. Posły jego rozbiegły się dawno na Ruś i do Kolomana o posiłki prosząc, lecz nimby nadeiagnęły, Bolko sam z jesienią i slotą musiał się bronić najeźdźcom.

Zaprawdę patrząc na dwa obozy tych zapasników, cesarski i królewski każdyby się był uląkł pierwszego przewagi.

Co tylko wiek ówczesny do wojny miał najkunsztowniej wymyślonego tu było; najpiękniejsze zbroje, najlepszy oręż, najsprawniejsi rzemieślnicy do budowy machin oblężniczych.

Wszystko to, mimo długiego pochodu, świetnie wyglądało. Szły wozy kryte, szły powodne konie, powiewały chorągwie i proporcezyki szkarłatne, ziemia tętniała pod kopytami koni tak zbrojnych a strojnych jak ludzie.

Z całego świata niemal pościągany żołnierz w cesarskim obozie się roił: Frankowie, Sasy, Boje, Czesi, Morawianie, Włosi. Obóz Światophagów mało ustępował cesarskiemu. Rycerstwo było

mężne, doświadczone, niejedną wojną za Alpani, nad Renem do wszelkiego boju wdrożone, zwyciężać nawykłe.

Tu w kraju barbarzyńskim napoty, zdało się im łatwym dokonać zaboru. Szli jakoby dla zabawy.

Gdy wojska cesarskie za Odrą się ukazały, w Głogowie się ich niespodziewano jeszcze. Bołkowie oddziały pilnowały brodów u Odry, poniżej i powyżej grodu samego, tymczasem cesarsey wprost naprzeciw zamku zgruntowali rzekę i zrana ją przebrnęli bez przeszkody.

Lud w dzień św. Bartłomieja, wszystek niemal po kościołach się modlił, gdy cesarsey podsiapili.— Wyszedszy z nabożeństwa ludność w ulicach popłoch i przerażenie znalazła. Z wałów widzieć było można wojska nadciągające.

Maly oddziałek Szlazaków stał bezpiecznie na łące pod murami zamku w namiotach, gdy niespodzianie ogarnęli go cesarsey, chwycili część znaczniejszą i niewiele ujsć mogło przed nimi.

Obóz nieprzyjacielski rozkładał się tuż pod wałami samemi.

Tu już z próżnemi rękami, jak w Bytomiu odchodzić niechciano, ale opatrzywszy bramy i mury, spodziewano się zmusić do poddania i cheiwe lupu wojsko nakarmić.

Zrazu w mieście trwoga powstała wielka, ale załogą dowodził stary, wytrawny, powolny i prze-

biegły Wojśław Głowa rozcięta. Tego zastraszyć było trudno. Czuwał milezący. Zaparto wnet bramy, gawieź z wałów spędzono, stanął gród jakby wymarły.

Cesarsey go objeżdżali, obchodził Wacek i Detryszek opatrując zewsząd i zawyrokowali, że się im obronić nie może, a poddać rychło musi.

Posłano wraz ludzi z rogami pod wrota, aby trąbili wywołując na rozmowę.

Staął Wojśław siwy, niepozorny człek, ciężki a na oko pokorny. — Domagano się wpuszczenia do środka. Wołał do nich wyjść sam, niż gości mieć u siebie eoby go podpatrywali, i furta ku nim wystąpił.

Hr. Wacek na koniu siedzący w zbroi pięknej, w hełmie ze skrzydły, dummemi go zmierzzył oczyma.

— Szyknjcie się do poddania cesarzowi — rzekł. — Zobaczcie ilu nas tu jest cesarskich i Światopłgowych, śmiech mówić o obronie.

— Sami my to już widzimy — odparł z udaną rezygnacyą Wojśław — ale król a pan nasz surowym jest. Przysięgaliśmy mu nie niepoczynać bez wiadomości jego. Dajcie nam czas, posłów do niego wyprawiemy.

— Nie — zakrzyknął Wacek — nie myśleć, że nas oszukacie. Zwłoki się wam chce! Czas zejdzie daremnie, my go nie mamy, bo całe wasze królestwo zawojować musimy.

Wojśław westchnawszy ciężko, zakładników ofiarował.

Z tém sam niechając stanować, hrabia Wacek do cesarza jechał. Światoplug i wszyscy dowódcy wołać zaczęli.

— Wziąć zakładników! z pomocą ich łatwiej gród zdobędziemy. Wziąć rękojmnię a dać im dni kilka, i naszym się z pochodu utrapionego spożynek należy.

Śmiano się z wielkiej Głogowian prostoty.

Wieczorem czterech młodych mieszczan z rękami w kieszeniach, głowami spuszczone mi szli jako na stracenie do obozu. Przyszczono im słowem cesarskiem, że wrócą cali, jeżeliby Bolko odmówną dał odpowiedź, ale sobie tak lekceważono Polaków, że im wiary dotrzymywać nikt nie myślał.

Dziecią ich przezywano jak zawsze.

Zaledwie Głogowianie: Patarz, Surma, Łowiec z Wojśławowym synem ukazali się ku obozowi dążąc pod strażą, gdy Zbigniew przeciw nim poskoczył. Chciał ich zabrać, aby jednać sobie i grozić. Dano mu pod straż zakładników. Młodzi słuchali go mówiącego z głowy odkrytymi, patrzali po sobie, a na pytania i namowy nie odpowiadali. Jeden drugiego w bok potraçał, wzdychali, stękali, głaskali głowy, łamali palce, kłaniali się i milczeli.

W obozie cesarskim uradzono, aby czasu nie tracąc zacząć budować tarany do bicia ścian

i bram. Ściągnięto z pobliskich lasów kłody i dwupiętrowe rusztowania owe poczęły się podnosić ku górze. Na belkach kładziono pomosty dla kuszników i strzelców, wiązano, ciosano i ochoczo szydzono sobie z Głogowian ukazując im te potwory straszne.

Lecz Wojsław też nie zasypiał, zagrzewał swych ludzi i do obrony się sposobił. Na mury, bramy, na wały ściągano co tylko do odparcia napastei służyć mogło.

Kamienie młyńskie nabijane kołami ostremi, koła ćwiekami ponajęzane, glazy ogromne, smołę, kotły do gotowania wrzątku, kłody z ostrokołami.

Dzień i noc jeździł a chodził Wojsław dokoła opatrując, napędzając do roboty, nie szczędząc nikogo, kobiet nawet i dzieci.

Wiedział on dobrze, jaka będzie króla odpowiedź, król nie znał i znać nie chciał tego, co to jest poddać się bez walki ze strachem. Za zbrodnię by poczytał i zdradę ustąpienie przed nieprzyjacielem.

Piątego dnia, gdy już około murów opatrzone było, a do obrony gotów gród, wrócili posłańcy. Wyszli przeciwko nim, zasłyszawszy o nich, Zbigniew, hr. Wacek, Niemców kilku, spoglądając urągali się...

Spytany starszy, jaką odpowiedź przynosił, odpowiedział, że król szubienicą zagroził każdemu, kto by śmiał mówić o poddaniu się. Lepiej

ginać od miecza, niż iść w sromotną niewolę. Bogdajby zakładnicy przepaść mieli, miasto się bronić powinno.

Wojśław wnet po zakładników przysłał, aby ich wedle słowa cesarskiego wydano.

Cesarz Henryk gniewem się nmiósł okrutnym. Posła kazał przypędzić przed siebie.

— Zakładników checcie! — krzyknął — wy krnąbrni a nieposłuszni, coście wszyscy miecza warci! zamek wydajcie, to ich mieć będziecie — nie, to i ich i was wszystkich wysiec każę do nogi. Nikt żyw nie zostanie. Pojechał Niemiecki graf do bramy, do Wojśława z groźbą a lajaniem.

Wysłuchał go dowódzca niekazując po sobie nic, a gdy dokończył — rzekł mu.

— Słowa nie strzymujecie cesarskiego, wiemy więc, czego się po was spodziewać mamy. Zamku nie damy, bierzcie go.

Zawarto bramy, wszystko się na tém skończyło.

W obozie cesarskim wściekłość powstała przeciwko zuchwalstwu temu. Światopłóg, hr. Wacek, Detryszek, Zbigniew, kto żył, do nagłego szturmowania zaczęli: do zniszczenia miasta i zrównania go z ziemią. Losem Głogowa chciano przerazić Bolesława i kraj cały.

Dnia tego jednak, choć się tak obóz poruszył, wrzał i kipiał, ludzie pod mury podbiegali, spo-

sobili się, odgrazali, nie do wieczora nie zrobiono.

Na walach téż cicho się sprawiano, miasto spać się zdawało.

Wieczorem tylko tarany owe straszne podtaczać zaczęto bliżej ku murom, i miasto dwu, które stały gotowe, cztery ich natychmiast pod noc układać poczęto ciosać i wiązać. Topory słychać było przez noc całą.

Zbigniew zakładników zdał dnia tego cesarskim, nim poszli, przemówiwszy do nich, upor karcąc i nakazując, aby do swoich szli, do poddania się namawiali, bo inaczej życie tracą.

Zakładnicy popatrzeni, głowami potrząśli, nie odpowiedzieli nic, książę nalegać zaczął.

— Daremna to rzecz — odezwał się jeden — przeciw woli króla nikt nie uczyni, choćby szło o głowę.

— Idźcież na złamanie karku i niechaj was wywieszają! — krzyknął Zbigniew.

Choć gród szczelnie był zamknięty a w obozie stały straże, działy się dziwy jakieś niepojęte. Cesarscy maloco, albo nie o mieście nie wiedzieli, a do grodu z obozu dolatywało wszystko.

Cesarscy się posługiwali pochwytauiem w okolicy ludźmi do czarnej roboty, niewiele na nich zważając. Czerń ta dniami pracowała, z nocy jej często nie stawalo. Wojsław zawczasu był uwia-



domiony i co z zakładnikami uczynić mają, i że szturm będzie straszliwy.

Na każdej polaci starszyznę poustawiał ze swej ręki, przysięgę pobrawszy z niej, że umrzeć każdy raczej gotów, niżeli wrota otworzyć. U wyłomów, uchiwaj Boże, choćby je trupami zawalać przyszło, stać mieli jak mur.

Nazajutrz rano, Niemcy jeszcze przysposabiali swe maszyny, obchodzili mury, najgrawali się, odgrazali, gotowali, a kusznicy i łucznicy przeciągali kupami, aby siłę swą okazali.

Cesarz sam na koniu wyjechawszy, patrzył i rozkazywał. Rozwinięto całą siłę ażeby obleżonych nią przestraszyć.

A na murach stali ludziska lichu poprzyodzie-wani, jako tako zbrojni, niepozorni, gdy wojsko Henrykowe w całym blasku i majestacie przeciągało. Ogromna mnogość tego ludu, rozmaite jego uzbrojenie, straszliwe hełmy grafów, najeżone rogami, głowy zwierząt i rozmaitemi godły, świetne ich pancerze, ogromne dzidy Sasów, Frankijskie oszczepy, chorągwie i chorągiewki panów, które lasem stały u namiotów, nadewszystko poczwarne owe tarany, które miano pod mury i bramy zataczać, ogromne kusze i łuki strzelców mogły przerazić załogę poza nadwreżonemi i tylko co polepionemi na nowo murami i wały stojącą.

Ale na czele mieszczan stał Wojśław i gro-

madka Bolesławowych rycerzy, zagrzewająca do boju, mniejąca natelmać mężtwem.

Mieszczanie z przestrachem spoglądali na te przybory, na mrówiącego się nieprzyjaciela, na ten blask i przepych cesarskiego obozu, w którym śpiewy i trąby się rozlegały, na przeciągające ułce: słuchali nrażeń, odgrózek i lajania, ale zarazem spoglądali na Wojsława, który stał tak niechętnie, jakby dla rozrywki na mur się wybrał.

Gdy przyszło do dawania zakładnika, a stary dowódca wiedział, że mieszczanie na słowo cesarskie niechętnie dadzą swe dzieci, przykład z siebie czyniąc, syna własnego posłał, nie mówiąc o tem cesarskim. Nieszczęściem poznano go tam, lub sam się zdradził bożny chłopak tak, że gdy nań Zbigniewowi ludzie nastawiać zaczęli, iż Wojsławów był, przyznał się do tego, kryć nie myśląc.

Zbigniew w cięższem coraz był położeniu, od Bytomia cesarz nań prawie patrzeć nie chciał.

Dopóki nie weszli na polską ziemię wmawiał w Henryka, że mu się grody pod nogi kłaść będą i nikt ezola stawiać nie śmieć. Teraz już i Wiprecht Groiec i wszystka starszyczna otaczająca cesarza widziała, on sam wreszcie przekonał się, że z upartym Bolkiem nie pójdzie tak łatwo.

Trudniój już coraz było o żywność dla ludzi i koni, sąsiednie sioła prędko zostały ogłodzone, z resztą mienia ludzie się rozpierzchli po lasach.

Kilka kupek picowników, co się zapędziły dalej padły pod mieczami polskich zasadzek, albo mało co z nich wróciło. Jesienna wyprawa coraz groźniejszą się wydawała.

Cesarz z każdym dniem gniewniejszym był. Światopłóg chodził chmurny, Zbigniew sypał jeszcze słowy, obietnicami, dowody, ale nie się nie sprawdzało. Słuchać go już niechęciano.

Nazajutrz szturm przypaść miano.

Powziął Zbigniew myśl szatańską i pobiegł z nią do cesarskich namiotów. Trudno mu było już zyskać przystęp do cesarza Henryka, który na niego wszelką winę zawodów doznanych składał, wreszcie uproszony Światopłóg do namiotu go wprowadził.

Cesarz się z grafami swemi naradzał.

— Miłościwy cesarzu — odezwał się wchodzący książę — ażeby czasu drogiego nie tracić, a uporne miasto zmusić do poddania, jest środek prosty a niechybny.

Obrócili się grafowie z pogardliwem niedowierzaniem, cesarz się ani odezwał, ani oczu nań nie podniósł.

— Na taranach powiązać ich zakładników — dodał Zbigniew. — Jest między nimi syn starosty. Nie będą przecie śmieli własnych dzieci mordować. Nasi kusznicy i łucznicy padną na bezbronnym i dostaną się do miasta.

Spojrzeli Niemcy na mówiącego z wyrazem

zadziwienia i niemal oburzenia. Nie ludzka rzecz była, słowo złamawszy, zakładnikami temi dobić się do miasta i korzystać z rodzicielskiej miłości.

Cesarz uśmiechając się dał głową znak przyzwolenia.

Ten, który ojca nie poszanował, mógł nie mieć dla obcych litości. Szło mn oto, aby zdobyć miasto, jak miało być zdobyte, niedbał. Zbigniew wyszedł zwycięzki i uradowany.

---

## VI.

Nadszedł dzień ten straszny, do którego modlitwami się przygotowywano w trwodze wielkiej, we łzach tajemnych. Jak świt poczęły zewsząd wojska cesarskie miasto opasywać, z tych zwłaszcza stron, z których najslabszém się być zdawało.

Pod bramy zataczano z wysiłkiem wielkim tarany owe olbrzymie. Łucznicy szli oddziałami wielkimi. Rogi grały, lud się naciskał gęstemi szeregami. Zdala widać było cesarza samego pod chorągwią wielką stojącego z grafami swemi, w szyszaku z orłem, we zbroi świecącej, na koniu siatką żelazną okrytym.

Okolo niego w hełmach całe twarze osłaniających, których właśnie używać dopiero poczynano, kręcili się groźnie pouzbrajani rycerze z włó-

czniami małowanemi, z mieczami błyszczącemi u pasów.

Na murach głowy tylko ludu szlacheckiego widać było. Z jednćj strony walczył żołnierz stary i doświadczony, z drugićj prości ludzie, uboga czerń, niewiasty nawet. Ale tćż napaść stokroć od obrony była trudniejszą.

Pod głównć wrota toczył się właśnie ów taran dwupiętrowy, gdy Wojsław, wypatrujący przez otwór muru, ujrzał na górńćj polaci uwiązanych do sterczących na nićj palów, własnego syna i zakładników.

Oslupiał stary, oczom własnym nie wierząc. Toczyła się ta potwora, przed którą naigrawając się jechał Zbigniew, wywołując ku bramie, aby na nią odwagę obrócił.

Chwilę na wyżkach u wrót panowało milczenie grobowe, zdumienie, litość, żal objęły Głogowian, starzy ręce łamali z rozpaczć.

Krzyk dziki dobył się potćm z ich piersi i wszystko umilkło.

W innych tćż miejscach, gdziekolwiek mur się słabszym wydawał, podłączano rusztowania, a skóro się zbliżyli do murów, wskakiwali na nie łecznicy, drapali się na polać górną i pogotowi stawali do rażenia strzałami. Na dolńćj mieszczono najlepszą piechotę z tarczami i oszczepami, aby po spędzeniu obrońców, wpaść mogła natychmiast włótem do grodu.

Upłynęło jeszcze kilka pacierzy, nim znak da-  
no trąbami zarazem ze wszystkich stron do sztur-  
mu, ale głos trąb wnet zagłuszyły wrzask, łomot  
i huk straszny. Uwiązane na łańcuchach belki bię  
zaczęły w bramy i mury, kusze i łucznicy sy-  
pnęły z góry na oblężonych gradem beltów, pe-  
cisków i strzał, krzyki rannych, nawoływania do-  
wódców rozległy się ze wszech stron w powie-  
trzu.

Nad główną bramą stojący Wojsław miał do  
wyboru w piersi własnego syna mierzyć, albo nie  
nie broniąc się zdać miasto. Oko mu się zaiskrzy-  
ło, pierś weszła wściekłością na wiarołomców,  
przeżegnał się biedny ojciec i pierwszy dał znak  
do obrony zajadłej.

Gdy taran zaczął walić w bramę, nie zważa-  
jąc na zakładników, sypnięto strzałami i kamie-  
niami z murów ku oblegającym. Bracia i ojcowie  
zamknęli oczy, aby nie patrzeć i nie widzieć gdzie  
szły ciosy i kogo dosięgły. Cesarsey, którzy stali  
obok zakładników, prawie bezbronni, bo się weale  
nie spodziewali, aby przeciw nim walczyć się  
ośmielono, poczęli pierwsi jęcząc padać na po-  
moście.

Rozpaczliwy bój zawrzał ze wszech stron.

Cesarsey jednak, co szli walcząc za cudzą  
sprawę, płatni i zaciągowi, choć mężnie się sta-  
wili, nie szli z takim zapomnieniem na siebie

i ofiarą, jak Głogowianie, którzy żon, dzieci, mienia i czei bronili.

Gdy z rusztowań zaczęto pociski rzucać, zarazem z murów odpowiedziano nie tylko strzałami, ale wszystkiem cokolwiek pod ręką się znalazło,

Sypnęły się kamienie ogromne, które ciężarem pomosty taranów gruchotały. belki ostremi kół najeżone, kola nabijane gwoździami, smoła gorąca, ukrop.

Rycerze, co szli za tarczami, z początku nie myśląc wcale, aby byli tak dzielnie i zawzięcie odparci, nieopatrznie się wystawili na ciosy i ranni zaczęli walić się jedni drugim przygniatając.

Z obozu widać było najpiękniejszych tych tarczowników cesarskich, jak im kamienie młyńskie gruchotały helmy żelazne i głowy razem z nimi, tarcze łamały i piersi. Lud ten padł u murów wałem trupów i rannych.

Tym co się obaleni a żywi jeszcze chcieli ratować, nikt nie śmiał przyjść w pomoc, gdyż z murów bezustannie sypały się głazy i drzewo; lano wodę, sypiano garnki ze smolą zapaloną, które oblewały ogniem i płonęły na ludziach, zadając im straszne męki.

Na widok tej obrony zajadłej cesarz pobladł z gniewu zarazem i strachu o swych żołnierzy. Lękał się postradać co miał najmężniejszego w tym pierwszym boju o jeden z grodów, gdy tyle ich jeszcze i ziemi tyle wojować było trzeba.



Odstąpić nie było sposobu, srom ogarniał przed tą ciżbą w sukmanach cofać wojsku cesarskiemu. Nowych więc slano na pomoc, a ci zaledwie przybywszy padali ranni, lub uchodzili pokaleczeni.

Na owych pomostach leżały już same trupy prawie, które nowo przybywający lucznicy zrzucać musieli precz, aby sobie miejsce uczynić.

Widok był krwawy i przerażający. Z rozbitych owych pocisków kamiennych, głazów, gruzu, wznosiły się chmury pyłu wygryzającego oczy, dym palącej się smoły wił się po ziemi, leżący i obaleni próżno się usilowali uwolnić od zbroi, które rozpalone od wrzątku i smoły żywcem ich piekły. Z obu stron wzmagała się wściekłość, którą widok i woń krwi upaja. Dwu zakładników leżało zabitych przez własnych braci. Cesarz patrzył na to zdala i sromem oblala mu się twarz. Oczyma szukał Zbigniewa, ale go w pobliżu nie było. Stał pod taranem zakryty ścianą z tarcie i z gniewu miotał się bezprzytomny. Rachuba jego była fałszywą, wstyd go ogarniał. Nie żał mu było ludzi, omyłka go popelniona sromem okrywała, lękał się nieprzyjaciół, których sobie przyczynił okrucieństwem.

Pod główne wrota, których część zatoczony taran przysłaniał, poczęto ogień podkładać i podkopywać się z drugiej strony, aby móżd podlo-

żywszy drągi wylamać ogromne podwoje, całe żelazem obite.

Robotnicy pracowali tu ogniem i toporami razem, gdy z wierzełu pomiędzy rusztowanie a mur spuszczone gwałtownie kłoc olbrzymi. Ten spadając zdruzgotał część taranu i z jego częściami spadł na karki tym, których on miał osłaniać.

W ślad za nim posypały się kamienie, polał ukrop dymiący.

Wojśław ciskać kazał na drewniany pomost garnki ze smolą zażęgniętą, która suche drzewo płomieniem objęła. Płomienie wznosiły się ze wszech stron...

Piechota co żywiej uelodzić zaczęła, rzucili się i łucznicy stojący na górze ku drabinom. W tém widlami żelaznemi chwytając ich poczęli ludzie z murów i kilku porwawszy na nie do góry, cisnęli na ziemię, na której trupami legli.

Syn Wojśławów cudem ocalony żył, drugi jego towarzysz choć ranny, klęczał na pomoście obwiązując ręce, aby zatamować krew upływającą. Sami łucznicy przywiązując cecę do zakładników zerwali im sznury i pochwycili z sobą. W czas właśnie, gdyż owo rusztowanie ogromne płonęło już ogniem zewsząd, trzaskało i walić się poczynalo, głowniami ognistemi obsypując murów podnoże.

Ze wzgórza, na którym cesarz sobie obral sta-

nowisko, aby się przypatrzeć szturmowi, widać było każde wojska poruszenie. Zobaczył też Henryk i uchodzącego z pod bramy Zbigniewa, przed którym znaczek jego niesiono.

Nim się miał czas od murów odsunąć, kilka beltów ugodziło go w zbroję, raziło konia, którego dosiadł i pokaleczyło dwóch ludzi co z nim byli.

Zbigniew nie śmiał się już nawet zbliżyć do cesarza, bo się lękał gniewu jego. Światopłóg z hrabią Wackiem i Detryszkiem szli z innej strony, cofnął się więc mrużąc ku padolowi i pozostał sam widzem gniewnym a bezczynnym, tego wysiłku, którego bezskuteczność widzieli już wszyscy.

Wiprecht Groiec przypadł do cesarza Henryka, rozpalony bojem, do którego najlepszych ludzi swych prowadził.

On sam miał zbroją kilkakroć rażoną pociskami, u helmu róg jeden odtracony.

— Przekłęci — zawołał zbliżając się do cesarza — przekłęci uiech będą doradzey ci co sami się zgubiwszy, drugich w matnię prowadzić gotowi!

Słowa te zarówno się mogły stosować do Światopługa i Zbigniewa. Współzawodnik czeskiego króla Borzywoja był szwagrem Wiprechta, który w sereu pewnie stronę jego trzymał i obu królestwa się dobijającym, Czechowi i Polakowi, był przeciwnym.

Henryk V choć doznał zawodu i w sercu gniewnym był, nie chciał okazać zwątpienia i zawołał do Groieca.

— Straconego nie ma jeszcze nic, oprócz trochę drzewa i kilkudziesięciu ludzi, o których łatwo!

— O takich jak ci co nam tu giną miłościwy cesarzu — odezwał się Groiec — niełatwo, nawet waszej cesarskiej miłości. Nabito nam w pierwszym starciu, kwiatu rycerzy! Gdybyż zginęli przynajmniej w bitwie walnej, waleząc w szyku przeciw rycerzom, nie byłoby sromu ni żalu, ale od gawiedzi i czerni mizernie belkami i kamieniami młyńskimi być tłuczonym, zaprawdę ciężko jest i boleściwie!

Cesarz, który zawsze najmoeniżej w złota wierzył potęgę, przywoławszy do siebie Groieca, szepnął mu, aby wieczorem na rozmowę wyzwać starszysznę i starać się ją kupić datkami.

— Gdy raz miasto poddadzą złoto się powróci — dodał — odbierzemy je z nawiązką, a ludzi każemy potracić!

Groiec, który lepić pono znał kraj i ludzi pochwiał głową.

— Darenna to rzecz — rzekł — ci co się krwi własnej nie lękali przelewać dla obrony miasta, nie dadzą go za złoto. Droższe im były dzieci od złota! Próżno myśleć o tém. Zbigniew winien,

on wszystkiego przyczyną, on klameą i zawodnikiem!

Nadszedł na to jednooki Swiatopłuk, za którym konia wiedziono ranionego, i usłyszał to narzekanie na Zbigniewa, w którego obronie stanąć musiał.

— Nie bijcie nań — wtrącił — człek nie-szczęśliwy jest. Szlask Bolkowa dzielnicą, tu ludzie się swego pana lękają, gdy pójdziemy dalej lepij i inaczej będzie.

— Więc — podchwycił Henryk — więc Głogów mielibyśmy rzucić tak i ze wstydem odejść od niego!!

— Miłościwy panie — zagrzyniał śmiały głos Wiprechta — im prędzej ztąd pójdziemy tem lepij. Dla marnego tego gniazda ludzi tracić, siły terać! A oto jesień za pasem, wody wyleją, rzeki powzbierają, paszy zabraknie, głód przyjdzie.

Cesarz zamilkł.

Bój się toczył jeszcze.

Było już z południa. Szturm cesarskich nie ustawał, ale siły mu znacznie ubyło. Trupów i rannych moc wielka na wałach leżała, co się w grodzie działo nie wiedział nikt, obrona była coraz gorętsza. Z wierzeholka więc poprzystawianych widziano padających od strzał, lecz tych wnet niewiasty chwytaly i do domów odnosiły. Na ich miejsce stawali drudzy. Obrona, do której niekoniecznie żołnierskich byle silnych rąk dosyć

było, zdawało się wznagać i stawać dzielniejszą z każdą chwilą. Jeśli w którym miejscu na krótko ustala, a ludzie osmieleni nacisnęli się tam, można było ręczyć, iż gdy podejda ramię na nich zgotowane wcześniej mordercze jakieś narzędzie. Ludzie rozbierali domy, obalali szopy, wydzielali ze ścian bierwiona, progi z chat i budowli, nieśli całe łomy obalonych murów i spychali je na głowy napastników.

Wieczór nadechodził, który miał dać obu stronom spoczynek.

Cesarzcy nie tylko że żądanych wrót nie naruszyli, nie złamali muru, ale stracili dwie wieże z taranami, próżno belców i strzał wypuścili mnóstwo, a padło ich nad miarę wielu. Więcej jeszcze ramych leżało pod trupami, czolgało się po ziemi i wywlekało do obozu, w potrzaskanych na kawały i popękanych zbrojach.

Słońce zachodziło. gdy cesarz znużony widokiem tym, zjechał ze wzgórza ku namiotowi swojemu, rozkazawszy dokola obstawić strażę, a wojsko od murów odwołać. Starszyzna, grafowie, dowódcy ściągając się poczęli wszyscy do namiotu Henryka, których nierychło dopuszczono do niego.

Gdy się cesarz ukazał rozdzielony ze zbroi, w ciemnej sukni krótkiej z łańcuchem i klejnotem na szyi, bez pasa i miecza, oblicze jego zawsze dzikie i groźne, blade było i wyrazem skromionej złości straszniejsze niż kiedy. Obrazo-

na duma pańska wzmogła się i wzrosła do najwyższej potęgi. Widać było po nim, że o ten pochód nieszczęśliwy, nie siebie obwiniał, ale tych co go doń naklonili. Nadto miał jednak świadków, aby w obec wszystkich przewrotny pan wybuchnął, wstrzymywał się, dając mówić drugim.

Wszyscy sromali się przyznać do klęsk i strat poniesionych dnia tego i radziłyby je byli umniejszyć.

Stary, jeszcze Henryka IV doradzca Genuo, ozwał się tylko.

— Gród gdyby się go i zdobyło, nie wart tego co nas może kosztować!!

Ciągnąćby dalej należało, Bolesława szukać i porazić go na głowę, do bitwy zmuszając. Wtenczas byśmy i kraj w ręce dostali.

— Zatem — odezwał się Groiec — jak Bytomia tak Głogowa lepić było nie napoczynąć, niż począwszy odstępować!

Imi milczeli. Cesarz patrzył oczyma złemi, nie mówiąc nic, białą ręką targał suknię na sobie. Wzrok jego Zbigniewa szukał, który zdala na boku stał. Wpatrzywszy się w niego rzekł Henryk.

— Gdzież są ci, co Bolesława nienawidzą i tak być mieli gotowi bramy nam otwierać, jego zrzuć, a do księcia się cisnąć? Dotąd ich nie widać!

— Na Głogowian ja nigdy nie rachowałem — ponuro odezwał się Zbigniew.

— Na kogoż przecie? — rzekł dumnie i szy-

dersko cesarz. — Jeśli nam tej pustyni każdą piędź tak zdobywać przyjdzie, ani ona, ani dań z niej, nie warta szlachetnej krwi, którą je oplacimy.

Wiprecht wtrącił.

— U Glogowa i miesiąc stać przyjdzie a nie weźniemy go. Z dzisiejszego dnia miarę brać trzeba. Czem prędzej odejdziemy ztąd, tém więcej oszczędzim ludzi,

Nikt nie rzekł przeciw temu. W obozie z powracającemi pulki, szły razem gniewy i narzekania wielkie, że najlepszego żołnierza poświęcono marnie pod murami.

Kłeska dnia tego znaczniejszą była niż zrazn mniemano. Sasi, Frankowie, Bawary, Turyni ponieśli straty w ludziach i zbrojach znaczne. Nie rany to były jak w bitwie na polu stoczonej, ale srogie pobicia, zgniecenia, połamanie rąk i nóg, od którego żadna zbroja osłonić nie mogła. Rannemi bez ratunku i dogorywającemi w męczarniach napełniały się namioty.

Po wodzach i starszyźnie widać było zniczenie i zwątpienie. Naradzano się gromadkami z sobą, spoglądano zdala na te mury stojące jak wezora, nie wyszezerbione, nietknięte, całe, gdzie nigdzie tylko od ognia okopcone, pooblewane wodą i smolą. Wyłomów od taranów i kłód prawie na nich widać nie było, ledwie się gdzie ka-



nień usunął i odleciało wapno; zawisł jaki huk żelazny, na którym sterczał pocisk bezsilny.

Tam gdzie wewnątrz uszkodzone były mury, widziano już krzątającą się ludność, która kamień, ziemię, drzewo przynosiła dla naprawy.

Cesarz z własnej myśli, wysłał dwu zakładników do miasta, wprzód ich przed siebie kaawszy przywołać, i groźnie im w swęj obecności przez woźnego zapowiedziawszy, aby swych mieszkańców do poddania się skłoniłi, gdyż inaczęj rękawicy nie da cesarz, w pień każe wyciąć mieszkańców i gród obróci w perzynę.

Odprowadzono kn bramie głównej syna Wojsławowego z towarzyszem, którzy uprosili, że im i zwłoki zabitych zabrać z sobą dozwolono.

Gdy z wozem, na którym okryte sukna kawałem trupy zakładników spoczywały, zbliżyli się do głównej bramy, Wojsław wyrzał sam, lecz się zrazn zdrady lękał i otwierać nie kazał. Dopiero gdy cesarscy dobrze się oddalili, furtę otwarto i wpuszczono ocalonych. Wojsław syna objął, długo z uściskn nie puszczając i słowa rzec nie umiając. Nadbiegli i drndzy z jękiem a narzekaniem wnosząc trupy, za któremi wnet się wrota zamknęły i gród umilkł. Żaden się jęk już nie dobył z niego.

W obozie cesarskim naradzano się niemal noc całą, a nie przyszło do żadnej zgody i postanowienia. Gdy dobrze rozedniało poczęto się ruszać,

jakby do nowego szturm. Wojsko podstępowało zwolna ku murowi, nie z wczorajszymi wrzaskiem i trąbami, ale opieszale, ociągając się, oglądnie.

Wprzód jeszcze cesarz woźnego swego (Herolda) posłał z rogami do bramy, aby do poddania się wzywał. Zdawało mu się, że zakładnicy do niego naklonią. Gdy woźny zbliżywszy się trąbić zaczął, długo się nikt nie ukazywał. Wystąpił potem na wyżki stary człek, którego Wojsław posłał dla tego, że się mógł dobrze z Niemcem jego mowę rozprawić.

Ujrawszy go woźny cesarski, podniósłszy głowę, ręką rzucając, wołać począł.

— W imię jego cesarskiej miłości, pana mojego Henryka, wzywam was, abyście się wnet nie mieszkając poddawali, nie chcieli swęj zguby zniszczenia i śmierci.

Szłazak, którego Wojsław posłał, człek osobliwy, nienawiele się zdał rękami, ale język wyprawny miał jak najlepsza skóra.

— W imię jego królewskiej miłości pana naszego Bolesława — zawołał — wzywam jego cesarską miłość Henryka, aby od naszego grodu ustąpić raczył. Skarbów nie mamy, żywności ino tyle, co na nasze gęby, a o strachu też u nas nie nie słyszeć.

Woźny, który orla miał wyszytego na kapie piersi okrywającęj, uczuł się tą mową strasznie dotknięty.

— Pomnijcie, czém jest cesarska moc — zawołał — która całemu światu panuje i rozkazuje!

Szłazak, imieniem Piotuch, poklonił się i odrzekł.

— Szannjemy my jego cesarską miłość, ale mamy swojego pana, który nam bliższy jest. Tenby nas wywieszać kazał, gdybyśmy bramy otworzyli.

Nadbiegl w tój chwili konno Zbigniew ze swemi i począł zdala wrzeszczeć, a ręką grożąc.

— Ludzie głupi! bez mózgu bydło! co czynicie? Bolesław już waszym panem nie jest! ziemia jego wszystka zajęta, nieoprze się nam z garścią swych niedobitków, którą Pomorec z dzieśiątkowali! jam wasz pan nie kto inny! ja wam rozkazuję zaraz mi bramy otwierać.

— My, miłości waszój, jako żywo nie znamy — odrzekł Piotuch.

— Wywołajcie mi na mur Wojśława — krzyknął Zbigniew — abym z takim mówił, co rozum ma, a nie z wami!

W tём z za murka ukazał się i powołany Wojśław, wylażąc powoli, stanął i szłyk z głowy uchylił.

Do niego się Zbigniew obrócił zapęrzony z gniewem.

— Co czynicie szaleńcy? co czynicie utrapieńcy! upokorcie się i posłuszni bądźcie cesarzowi. Wasz Bolesław, co się po lasach musi jak

zbijca ukrywać, nie dostoi. Wie co moc jest cesarska? Poddawajecie się chcecie być cali.

Wojśław popatrzał nań i rzekł krótko.

— Nie poddamy się.

Zbigniew plunął z gniewu i złości.

— Kamień na kamieniu z waszych murów nie zostanie — zaczął krzycząc — pójdzie gród z ogniem, nie ocaleje dusza żywa! Nie zmożemy was dziś, wrócimy jutro straszniejsi jeszcze i w gruzy obrócimy ten psi barłóg wasz.

Na murze stojący słuchali nie nie mówiąc. Wojśław z tej mowy o jutrze wniósł tylko, że dziś niewiele się spodziewali dokazać.

— Poddajecie się! wściekle głos coraz podnosząc — wołał Zbigniew.

Wojśław głowę skłonił i rzekł chłodno.

— Nie poddamy się!

Stał jeszcze Zbigniew. Woźnemu cesarskiemu oddać się kazał. Wojśława do furty zażądał jeszcze na osobną rozmowę.

— Abyście mnie zdradziecko ubili i miastu odjęli głowę — rzekł Wojśław — nie pójdę.

Zaklinał się na krzyż pański Zbigniew, stary głową potrząsał.

— Kłękcie się wy panu waszemu nie jeden raz, a zdradziliście go nie jutro ale tegoż dnia, gdy przysięga nie zastygła! — rzekł Wojśław obojętnie — nie idę.

Zbigniew się ofiarował oręż precz odrzucić,

ludziom kazać jechać, byle z Wojsławem mówić mógł sam na sam. Stało się wreszcie jak chciał. Gdy się rozbroił, furtę na wpol otwarto, Wojsław się w niej ukazał.

— Dziesięć grzywien złota! — rzekł książę — dla was, dwadzieścia srebra, jeśli zamek podacie!

Wojsław oczy podniósł na niego.

— Ani dziesięcią tysiącami umie nie kupicie — rzekł ponuro. — Damy my wam dziesięć grzywien abyście przez szli.

Rozsierdził się znów książę, poczynając grozić i łajać, lecz i to nie skutkowało.

Rozmowa zabrała czasu dużo, ale stała za pozor dlatego dotychczas nowego szturm nie przypuszczano, do którego nikt nie miał zbytnej ochoty. Tracić tu rycerzy, gdy dla pokonania Bolesława było ich potrzeba, cesarz się wahał, odradzali wszyscy.

Gdy nareszcie woźny i Zbigniew z niczem odwrót do cesarza powrócili, znaleźli tam już postanowienie, że nazajutrz o świcie wojsko całe ku Wrocławowi wyruszyć miało. Spodziewano się jeszcze w pochodzie napaść na Bolesława i oskoczywszy go do walnej przymusić bitwy.

Jesień coraz słotniejsza następowała, psowały się drogi, deszcz lał, rzeki wzbierały, grzędawice stawały nieprzebyte.

W ciągu tego dnia pojedyncze już tylko gro-

madki podkradaly się z różnych stron pod mury, strzelając z kusz do ukazujących się na uich. I w tém szczęściu uie mieli, bo strzelców starych kilkadziesięciu Wojslaw wysłał, którzy czatowali mury obchodząc, a belty z kusz ciskali tak trafnie, iż razili kogo wzięli na oko.

Straciwszy kilku Niemcy i tych hareów pod wieczór zaprzestać musieli.

Nazajtrz obóz zwiјаć miano.

W milczeniu jedni, z odgrózkami straszliwemi drudzy, poglądając ku umrom przeklętym, poczęli namioty ładować ua wozy, konie ściągąć i pułki szykować na bloniu.

Jawnem już było dla Głogowian, że oswobodzeni wkrótce być mieli, uie wybuchli jednak z radością i milczenie na murach panowało.

Obawiano się podstępu i zdrady.

Ze dniem bez rogów, okrzyków, cicho, powolnie zaczęli odciągać Sasi uaprzód, których po długich włóczęniach poznawauo, Frankowie potem Boje, Almanie i Czechy.

Z ostatniemi ciągnął téż Zbigniew, cesarza unikając, który ile razy się pokazał ua oczy, wyrzueał mu, że go uwiódł i okłamał, łatwém zdo byciem kraju, co mu się do stóp miał położyć.

Wielka owa buta i wesele z jakimi pod Bytom przyszli, znaczenie w pochodzie przytarly się i ostygły. Szukano Bolesława, znaleźć go nie było można, choć czuć go było wszędzie. Gościńce za-

walone, zasieczone drogi, puste siola, pozrywane stogi, kraj bezludny, głodny, przygotowanym był widoeznie, ażeby pochód ntrudnić.

Gdzieniegdzie reszty traw i paszy dymily wypalone świeżo.

Oddalila się gromadka jaka od wojsk ciągnących kupą, dla paszy i żywności, których nie stawało; wnet się wyrwał oddział z lasu zaczajony, z wąwozu, ze trzein, z rowów, powstawał, napadał, ścigał, rąbał i uchodził.

Noeami nawet na wielkie obozowisko padały strachy. Choć nikogo nie spotykali, niewidzialne jakieś oczy śledzić się ich zdawały. Przednie straże gdy się cokolwiek poruszyły za żywo, spłoszone wnet musiały się zwijać ku swoim, bo na nie w biały dzień najeżdżano.

W lasach razily na tyłach, na bokach pociski, jakby z nieba spadające, bo ludzi nikt nie widział. Studnie były pozawalane, na polach pustki strątowane.

Szli tak, coraz wolniej i ostrożniej się posuwając.

Nieprzyjaciel zdawał się li być z prawej strony, występowano gromadniej szukać go, zjawiał się z tyłu; zwrócono się w tył, zachodził z przodu, zawsze tam, gdzie się go niespodziewano.

Jednego dnia poprawiecy niepokoił, nazajutrz rwał od lewego skrzydła.

Czesi, pierwsi zniechęceni, zrażeni do Niem-

ców, poczęli w drodze piosenki układać, które po całym obozie nuczono:

Bolesławie! sławny panie!  
Daj ci Boże panowanie,  
Nie są i-z we dnie ani w nocy,  
I nam nie dasz zmrznąć oka.  
Sam z gromadką, bez pomocy,  
Głasza nas jak ziemia szeroka.  
Bolesławie, sławny panie!  
Daj ci Boże — królowanie! itd. <sup>1)</sup>

Niemcy choć nie śpiewali, narzekali srodze, bo nie tylko łupn nie było żadnego, ale głód, chłód i pragnienie cierpieć musieli. Bie się nie było z kim, a napaszcie znosili codziennie. Przychodziły one jak pioruny z nieba jasnego, a gdy się żołnierz zabierał do odparcia, już nie miał przed sobą nikogo i dokąd ścigać nie wiedział.

Do cesarza już najnubiejsi słowa rzec nie śmieli, tak rozdrażniony i mściwy ciągnął.

Zbigniew chował się, Światopłóg też burczał, że darmo do Polski się powlókł, gdy i doma było do roboty wiele. Spodziewał się Węgrów w gościnę, a prawdopodobnie i Ruś Bolkowi przyjsć musiała na ratunek.

Wyciągnąwszy zaś raz, ciągnąć dalej zmuszeni

---

<sup>1)</sup> Gallus.



byli radzi czy nie radzi i wlekli się mokremi równinami ku Wrocławowi. Wozy grzęzły, konie padaly, ludzie chorzeli, narzekanie z dniem każdym było głośniejsze.

Grafiowie i rycerze niemieccy widząc, że i bić się nie było z kim, i rabować nie mieli co, srożyli się na Zbigniewa, narzekali nawet na cesarza. Widzieli, że kraj to był nie do podbicia, bo choćby bitwę wygrali, zawładnąć nim nie mogli. Grody stały jak opoki, oblane moczarami, a z bezpańskich pustyni, w których żywej duszy nie było, nawet szkapa się nie napasła. Lasy gęste straszyły jak twierdze niezdobyte, bo każdy las zasadzką był najeżoną przeszkodami, a gdy w nim kto zablakał się i pozostał, nie powrócił do obozu. Puszczą go pożerała i śladu po nim nie było. Nocą mało kto mógł usnąć. Nie dosyć było stawieć czaty, musieli żołnierze we zbroi się kłaść, bo często po dwakroć i trzykroć nocą na koni wolano. Rozruch się wszczynał, knupka jakiegoś ludzi z ziemi wyrosła rzuciła się na namioty, na konie i ludzi, zabierała co było pod ręką i nim się do obrony przygotowano, znikala.

Dwa czy trzy razy Niemcy w takich ntarzkaeh, zdawali się mieć przewagę, zmusili do ucieczki, popędzili za uchodzącymi, wpadli w jakiś zakąt, gdzie ich osaczono i wybito tak, że mało kto lub nikt nie wrócił.

Zbliżając się do Wrocławia znużeni w śmierć,

prosili Niemey Boga o walną bitwę, o nieprzyjaciela jawnego, ażeby raz niedola się ta skończyła.

Cesarzowi donoszono o wszystkiém, i o szemraniu w wojsku i o owych pieśniach na cześć Bolesława, których się już i Niemey z nad Renu ponauczali, zakazywano szemrać i śpiewać nadaremnie. Śpiewano piosnki szyderskie ciszej tylko, z biedy śmiech czyniąc, bo niewiedzano czém się już pocieszać.

Wolali ciągle Niemey: gdzie ów Bolesław? niechaj stanie, niech się nam pokaże. Drudzy im odpowiadali szydersko.

— Niema go nigdzie, choć jest wszędzie, łapajcie gdy możecie.

Niedochodząc do Wrocławia, cesarz znowu zwołał grafów na radę, ale Zbigniewa, który też się na nią wybierał niedopuszczono. Zdrajcę zaczęto już podejrzывать o zdradę.

Zebrali się Światopłóg, Wiprecht, Wacek, Detryszek i inni dowódcy; Henryk zagał sam z zapaleliwością wielką.

— Wwiedli nas w kraj dziki, pogański — zawołał — gdzie i o chleb trudno nie mówiąc o łupie, bez którego tyle ludu trudno utrzymać. Ja wojska żoldem nie opłacę. Bolesław jak wilk wściekły krąży i obrywa nas nie śmiejąc wystąpić. Żołnierz czuwaniem i pochodem znużony pada, konie zdychają, lasy nieprzebyte, moczary nie

zgruntowane, robaetwo zjadliwe, strzały zewsząd padają, wieśniactwo zawzięte, pochodu tego dosyć już mamy. Na Kraków, na główny gród iść potrzeba, złupić go, okup wziąć, chyba to nam nagrodzi straty.

-- Miłościwy cesarzu — odparł Groicz — nim do Krakowa dociągniemy, ażaliby nie lepiej spróbować układów z Bolesławem.

Poślijmy doń, zagroźmy mu, przecież znajdzie go ktoś w tej dziurze, w której zaczajony siedzi.

— Jedź sam, jeśli chcesz — odparł cesarz — jedź z tém, by mi moją dań, trzysta grzywien wypłacił. Wyjdę, a nie, stolicę mu wezmę i zburzę.

Groicz więc jako poseł tegoż dnia do Bolesława wybierać się począł.

---

## VII.

Niełatwo było Bolesława wyszukać, ale woźnych cesarskich mając z sobą, jadąc jako posel, Groiez, który spodziewał się i szwagra swojego Borzywoja zastać przy królu, puszczał się śmiało. Wziął z sobą kilkanaście koni i na oślep przed się pojechał, kędy zasłyszał, że największe siły być miały.

Rankiem wyruszywszy z obozu, wkrótce znalazł się w puszczy, a i mili nią nie ujechawszy został oskoczony. Zatrąbionowołając, że posel jest do króla od cesarza jadący na rozmowę. Kupka ludzi jezdnych, która otoczyła Wiprechtą, nie czyniąc mu nie złego, ofiarowa'a się prowadzić. Zapowiadano, że król był niedaleko, ale musiał dalej pewnie odciągnąć, bo na równi się

z wojskiem cesarskiem posnwał, aby go nie tra-  
cić z oczów.

Miał Groiec sposobność w podróży porównać  
wojsko swe z temi, których teraz njrzał przed  
sobą. W porównaniu do cesarskich, Polacy, nawet  
Zemla, który oddziałem dowodził, niepocześnie  
byli uzbrojeni i nieobarezeni żelazem. Ale lud był  
krzepki, ochoczy, wesoly, silny i odważny.

Żadnego z nich prawie nie było, któremu by  
coś nie brakło, jeden rękę miał na pół odrąbaną,  
drugi twarz przeplataną, inny nogę krótszą od  
rany, niektórzy kresy na policzkach, oczy powy-  
bijane, wargi porozeinane. A ludzie byli młodzi  
lub średniego wieku. Owych misternych koszul  
żelaznych plecionych, których zaczynano używać,  
nie widać na nich było, ni zbyt osobliwego orę-  
ża. Helmy stare z nosami żelaznemi, a drugich  
i skórzane szłyki z obręczami, pancerzyska ledwie  
ochłapy.

Sam wódz lekką łuskową zbroją był okryty,  
i to nie żelazną ale z rogu wyrobioną, wielu ze  
skór grubych polepione mieli kaftany. Oszczepy  
ciężkie, grube, proce ładajakie, miecze staroświe-  
ckie krótkie, obosieczne, łuki niewykwintne, koł-  
czany z hubu lipowego. Pięknego pozoru to nie  
miało, mizernie się wydawało gościowi, ale w tych  
łachmanach i rupieciach ludzie siedzieli straszni.

W podróży cisnął któryś toporem na zwierz-  
a i ubił go nim.

Jechali prowadząc Groicza lasem gęstym bez drogi, przepływając przez strumienie, przebijając się bokami trzęsawisk, kręcąc w prawo i lewo... Kilku z nich przodem pobiegło króla szukać i oznajmić mu. Groicz jechał z wolna. Obiecywano mu Bolesława wieczorem lub nocą.

Przed wieczorem stanęli na łące pod lasem koniom wypocząć i mieli już ciągnąć dalej, gdy tentent szybki się dał słyszeć.

Ludzi ze dwóchset podobnych do tych, którzy Wiprechtowi towarzyszyli, nadbiegło żywo.

Pośrodku między nimi poznał lub raczej domyślił się króla Bolesława, bo przy jego boku i Borzywój jechał.

Za nim Skarbmierz Jednooki, Żelisław Bezręki i kilku starszych, dwór i drużyna.

Ci wszyscy piękniej byli zbrojni, lecz i na nich nie nie świecilo, prócz na królu łańcuch z wizerunkiem ojca, którego on nigdy nie zrzucił.

Groicz zsiadł z konia i poszedł zaraz pozdrowić króla. Mylił się sądząc zrazu z gotowości do rozmowy, iż go najazdem znajdzie strwożonym i gotowym do układów.

Pozdrowili się po rycersku. Król pod dębami już z liści napół opadłemi kazał rozbić mały namiocik, tak lichy, że go za nim na koniu wieszono. W mgnieniu oka czeladź błotno rozpięła. Weszli doń wszyscy ze starszyzny, a tuż się chleb,

wino, mięso i co żołnierzowi dla nasycenia głodu potrzebne, znalazło.

Król Bolesław wpatrującemu się weń Groiczowi zdal się tak dobrą myślą, iż jemu odeszła wielka otucha z jaką przybył. Borzywój też, z którym się szwagier po bratersku pozdrowił, nie zbyt przybitym był i chmurnym.

Nim do rozmowy z królem przyszło, szwagrowie z sobą na uboczu, wyszedłszy za namiot poszeptali.

— Pomóżcie mi — rzekł Groicz do Borzywoja — aby się stała wola cesarska, a i wy na tem zyszeccie, przemówię za wami. Bolesławowi grozi, jeśli się nie ugodzi, że mu cesarz państwo odbierze.

Dobroduszny Czech pokręcił głową, podniósł ręce i oczy w górę i szepnął.

— A ja co mogę?

Borzywój w istocie przewagi tu i głosu nie miał, jak go i w kraju niegdy utrzymać nie mógł.

Weszli do namiotu na rozmowę.

— Miłościwy panie — odczwał się Groicz — cesarz a pan mój na Kraków stolicę waszą wprost idzie, postanowił wziąć ją wam i zniszczyć, gdyż srodze rozżalony jest na was. Ratujcie siebie i państwo, dajcie jaki taki udział w ziemi Zbigniewowi, a nam trzysta grzywien dani, zgodę uczynimy.

Nim król miał czas odpowiedzieć, Jednooki Skarbimierz wtrącił ponuro.

— O księciu Zbigniewie, ani słuchać nie możemy.

— A ja za pokój ani szeląga nie zapłacę, chociaż go pragnę — odczywał się Bolko. — Bóg mi świadkiem, wolę jako rycerz ginąć, niż żyć jako niewolnik.

— Dań cesarzowi przecież niewolą nie jest — odczywał się Groiec. — Tak samo jak cały świat papieżowi podlega, i cesarzowi też wszystkie ziemie dań są winne.

— Niemieckie — dodał król — nasze. nie. Rzymowi podlegli jesteśmy, bo na stolicy namiestnik Chrystusowy zasiada, cesarzowi nie poddamy się nigdy.

Zakłopotał się mocno poseł tak stanowczą odpowiedzią, lecz pierwszą tą odmową nie zraziwszy zupełnie, powolniej nastawać zaczął.

Król słuchał lecz jedno miał na ustach.

— Nie może to być. W domn u siebie ja sobie cesarzem jestem. Gdybym nad sobą innego miał, królem a panem nie byłbym ale sługą.

Napróżno gardłował Niemiec, król śmiać się począł wreszeie i z ukosa nań patrząc odczywał się.

— Wojujecie, probujecie siły! Niechaj wola Boga rozstrzyga między nami! Na Kraków idźcie, ja bronić będę jak zdołam!

Znużyli się do nocy rozprawianiem napróżnem. Borzywój nareszeie szwagra odciaął na stronę.

— Wy z nim nie uczynicie — rzekl. —



Z nas tu wszystkich żaden nad nim siły nie ma, jednemu Skarbimierzowi wierzy i czasem go słucha. Gdybyście jego z sobą jako posła do cesarza zabrali, a napatrzył się tam siły i potęgi pana, Henrykby go może darami i łaskawością mógł zjednać. Kto wie, możeby na jaką przystali ugodę. Danina mała jest a spokój drogi.

Tak nie nie uczyniwszy, Groiez nazajutrz o świcie, gdy do pożegnania przyszło, rzekł.

— Miłościwy panie, gdy odpowiedź waszą cesarzowi odniosę, boję się, iż mi wiary nie da. Wyprawcie posła ze mną od siebie, któryby sam wolę waszą oświadczył. Palatyn Skarbimierz ma pewne zaufanie wasze, każeć mu jechać ze mną.

— Prawa to ręka moja — odparł Bolko — niechętnie ją i na jeden dzień odjąć dam sobie. Ale trzebali — powolnym będę, pojedzie z wami.

Stało się więc jak Borzywój podszeptął po ciehu, Skarbimierz we dwadzieścia najlepszych ludzi i koni wybrał się natychmiast z Groiezem.

Pożegnali się rycersko, król wesóło sobie żartował z własnego wojska i z ufców Henryka, a dobrej myśli był, jakby po odniesioném zwycięstwie.

W podróży dwaj wodzowie nieprzyjacielscy zbliżyli się nieco ku sobie, a Groiez mimowoli może wydał z wielkiém znużeniem

Gdy lepićj poznał Skarbimierza, przekonał się, że był za twardym do ujęcia, za dumnym do zła-

godzenia nprzejmością, za rycerskim, aby dal się przekupić.

Ale na dworze i w otoczeniu Henryka V wszystko się na grzywny złote i srebrne obliczało, bo i cesarz sam za nie gotów był oddać wszystko, pomyślał więc Wiprecht, że może i Skarbimierza, choć drogo kupić będzie można.

Obóz cesarski jeszcze się był nie ruszył z miejsca, na którym go zostawili, gdy Groicz z posłem powrócił. W namiocie swym pozostawiwszy Skarbimierza i dwór jego powierzywszy strażę, sam poszedł naprzód do cesarza.

Ranek był właśnie. Po krótkim oczekiwaniu, Groicz uroczyście wprowadził posła przed Henryka V.

Po drodze stało mnóstwo ludzi rycerskich, którzy mu się przypatrywali, bo o tym jednookim wodzu, co i na Morawach i w Pomorzu się wślawił, slyszano wiele.

Rycerska była postawa człowieka, ale nie strojna i nie błyszcząca niczem. Zbroja na nim gruba, miecz z rękojeścią żelazną, pas nieozdobny, hełm pobity, kaftan prosty, płaszcz zszarpany, weale wspaniale nie wyglądały. Jak przybył tak otarlszy się tylko z kurzawy i błota, przed cesarza szedł.

Jedyną ozdobą był na drugim palcu prawej ręki pierścień drogi, dar królewski. Rubin wielki

jak wolowe oko i jak ono okrągło wytoezony, siedział w nim złotą, grubą objętą przepaską.

Cesarz nim przypuścił posła przysposobił się na jego przyjęcie, z całym majestatem i przepychem występując, który go w podróży otaczał. Stanęli dokoła namiotów rycerze w hełmach całych, w zbrojach świetnych, w pasach złocistych, w szatach bławatnych, na których piersi godła różne wyszywane były barwami. Wystawiono chorągwie przed namiotami. Służba i dworzanie cesarscy: chorążowie, podkomorzowie, cześnicy, miecznik cesarski, woźni w świątecznych szatach; wszyscy z oznakami godności swych, w purpurze i złocie, otaczali Henryka, który przywdział też strój rycerski. Przypasał miecz, okrył się płaszczem szkarłatnym, i z powagą a surowością zasiadł na przenośnym krześle tronowym, dokoła mając starszyznę swoją.

Szedł tak Skarbimierz wśród dwu szeregów pozłocistych rycerzy, grafów i panów, śmiało wódząc oczyma i nie wstydząc się weale ani prostej swej odzieży, ani wytartej zbroiczki. Wszystka ta wspaniałość straconą dlań była, bo wobec niej wyżej jeszcze podnosił głowę i jedynym swym okiem otwartym, dumnie a obojętnie spoglądał na przepych ten, rozumiejąc dobrze, dlaczego na pokaz go wywiedziono.

Groiec poprzedzał go, aby wprowadzić przed pana. Wkroczyli razem do wspaniałego rozlegle-

go namiotu, do téj części właśnie, w której od złotych naczyń, sreber i kosztowności blask bił wielki jak w kościele od ołtarza.

Cesarska twarz namarszczona i groźna nie nstraszyła téż posła, a gdy Groicz poselstwo swe odprawił: Skarbimierz potwierdził je krótkimi słowy, nie jak kanclerz lub kleryk, który wymowy zażywa mniętnie i popisuje się z nią rad, ale jak żołnierz, co słowo niewiele waży, a pięknie go dobierać na wiązanek trefną nie zadaje sobie pracy.

Cesarz odezwał się zaraz, w początku groźnie, iż na Kraków wnet ciągnąć będzie, że zachwalstwu nie przebaczy, lecz mowa ta żadnego nie uczyniła wrażenia na starym żołnierzu. Słuchał jój milczący, nie okazując, by brał do serca.

Po cesarzu odzywali się inni, wystąpił kanclerz i kapelan Henryka Wigand, w imię religii i kościoła skłaniając do posłuszeństwa, które ei co ulegali głowie jego w Rzymie, Papieżowi, winni téż byli i cesarzowi.

Na to odpowiedział Skarbimierz, iż posłem jest a nie władnie tu sprawą, więcéj nie mogąc oddać nad to, co mu do zanieśienia powierzono.

Wśród téj rozmowy, na skinienie cesarskie, poczęli się zwolna z téj części namiotu cofać do drugieój wszyscy przytor ni, tak, że po chwili Henryk sam pozostał ze Skarbimierzem i powstawszy z siedzenia, przybliżył się do niego

— Palatynie — rzekł do niego głosem łagodniejszym — napróżno staracie się umniejszyć znaczenie wasze, a skromnym się czynicie posłem. Wiedzą ludzie jak u swojego pana stoicie i że wiele nad jego umysłem możecie. Czyńcie, proszę, co dla pokoju i zgody potrzebne, my wam zawdzięczycie potrafiemy.

To mówiąc cesarz zwrócił się ku głębi namiotu, gdzie stały skrzynie jego podróżne, nalożowane srebrem, złotem i klejnotami i ku nim Skarbimierza poprowadził.

— Nie sądzicie — rzekł — abym był tak waszych trzechset grzywien pożądlivy, albo na zdobycz chełwy. Mam bogactw podostatkiem. Nie żałowałbym ich dla czei korony mojej. Patrzcie — dodał wskazując na otwarte skrzynie — to są tylko moje podróżne zapasy, a jest tego pewnie przecie więcej niż u was??

Skarbimierz, któremu ta mowa, sam na sam w cztery oczy rozpoczęta przez Henryka, zdała się pokuszeniem o przekupienie go, zarumienił się i zafrasował, zburzony, walając co odpowie.

Myślał, jakby pogardę dla tego złota miał okazać, gdy oko jego padło na ów pierścień, na te czasy kosztowny i drogi, który miał na palcu. Szybko zdjął go z ręki i z uśmiechem, w silnej dłoni łamiąc go na dwoje, zawołał do skrzyni rzucając.

— My, miłośnicy cesarza, wyżej cześć i po-  
czeiwość cenimy nad złoto.

Złoto niech idzie do złota!

I pierścień potoczył się na zlocistą misę, z któ-  
rą czerwonym okiem zdal się cesarzowi uragać.  
Henryk stanął zdumiony mocno i po chwili na-  
mysłu zamruczał półgłosem.

— *Hab Dank.* (Dziękuję).

O przekupieniu tego człowieka już więc po-  
myśleć nie było podobna.

Cesarz powrócił na swe siedzenie, a wkrótce  
Skarbmierz, pokłoniwszy mu się, pożegnał go.

Nie zatrzymując się już potem w obozie, nie  
chcąc z nikim mówić więcej, choć mu się różni  
narzucali, poszedł Skarbmierz oburzony wielce  
do koni swych, ludziom siadać kazał i wyciągnął  
z obozu bez przeszkody, ciekawemi ścigany oczy-  
ma. Jednego mu czлека zabrakło, lecz gdy napró-  
żno wołano i szukano, czekać nań nie mógł, ru-  
szyli więc bez niego.

Po odjeździe posła cesarz gniewniejszy był  
jeszcze niż przedtem. Podziękował za pierścień  
rzucony, ale nim jak kamieniem w piersi cisnął  
mu ten człowiek.

Nie było już co czynić, musiano ciągnąć pod  
Wrocław.

Wojsko ustawicznie napastowane: Sasi, Fran-  
kowie, Czesi skarżyli się, przeklinali tę wyprawę  
coraz głośniej. Pochód coraz cięższym się stawał.

Zamiast łupów spodziewanych na wozach wieziono trupy znakomitszych rycerzy, których chować na obcej ziemi nie chciano.

Czarném sukniem pokrywane wozy te, ciągnęły za obozem jak niestałe kłęski i strat przypomnienie. Kto spojrzał na nie, ścisnęło mu się serce, a wielu mruczało, że gdy się dalej posuną i ich ten sam los spotkać może.

Tak wojsko Henryka i Czesi, wlokąc się niechętnie, coraz urywane po bokach i niepokozone przybyło na szerokie pola pod Wrocławiem. Tu się położyć miano dla wypoczynku, bo żołnierz był i znużony i zmęczony, a Bolesława oddziały coraz bliżej, gęściej, śmielej nacierały.

Zabierano się wrzekomo do oblegania grodu, w istocie nie wiedząc co czynić. bo o odwrócie więcej myślano pono, niż o dalszym pochodzie, gdy nowy cios dotknął wojska sprzymierzone.

Zrodziny Wrszowców, którą Światopług w Czechach wytepił, rozkazawszy zamordować Mutynę, Unisława, Domasława, Wakulę, Krasę, Neceszę, Borzytę — uszło kilku do Polski. Z dawniej tu osiadłych Wrszowców był przy Bolesławie Jan, syn Czystego, człek w sile wieku, mężstwa wielkiego, który o zgnębieniu rodziny swój krwawo wymordowanćj słysząc, zemstę poprzysiągł Światopługowi. Jan ten, gdy się Skarbimierz do cesarza wybierał, potajemnie się przyłączył do jego orszaku. Nie zważał nań nikt, aż gdy się już od-

dałil postrzeżono, że jednego z ludzi nie stało. Gdy król o niego dopytywał, z drużyny niektórzy opowiadać zaczęli, że zaklął się zgladzić Światopługa a pomścić krwi własnej.

Po powrocie Skarbmierza zapytano wnet o Jana Rawieza, ale w orszaku go już nie było. Co się z nim stało, nikt nie wiedział. Ci co z nim byli, mówili, że do obozu czeskiego poszedł, a gdy odjeżdżać przyszło, ani go zwołać, ni znaleźć nie mogli. Lękano się czy go poznawszy jako Wrszowica, nie ubili nieprzyjaciele rodu.

Jan tymczasem pomiędzy Czechów Światopługa wpadłszy, że się tam nie wszysecy znali, udawał jakby do wojska należał. Nikt go nie poznał, ni się domyślał po co przychodził. Weisnął się między dwór i czekał sposobności.

Dnia 21 Września, gdy w obozie radzono znowu i wszysecy się wodzowie do cesarza zbierali, jechał na mulicy swój Światopług lekko uzbrojony. aby też do rady należeć. Pełno było ludu około namiotów, zgłęb wielki, gwar ogromny, wszystkiemi języki wołano, krzyczano, sprzeczano się. Światopług przez tłum żołnierzy, przekupniów obozowych i czeladzi nie mogąc się przecisnąć, przystanął nieco, prawie pod samym cesarskim namiotem, gdy pieszy człek z boku zaszedłszy, nagle podniósł oszczep okuty i żgnął go nim w bok tak silnie, iż przebił na wylot. Światopług krzyknąwszy ledwie, z siodła na ziemię się obalił.



Jeszcze ludzie dokola stojący opamiętać się nie mogli co się stało, gdy Jan Rawicz, konia stojącego dopadłszy, puścił się w obóz uciekać. Drudzy też konie chwycili, aby w pogoń iść za nim, ale zrazu ich wyścignął, potem co się który zbliżył rąbał tak, iż kilku padło, a reszta do zarośli go doprowadziwszy — wróciła z niczem.

W cesarskim i czeskim obozie stał się popłoch, poruszenie, wzburzenie niewypowiedziane. Nadbiegł strwożony Zbigniew ręce łamiąc, głośnie Bolesława oskarżając o tę sprawę zemsty.

Groźąc pospieszył dać znać cesarzowi, a tu całe niemal wojsko czeskie zerwało się naciskając się ku zwłokom pana, leżącym jeszcze na ziemi z ową włócznią w boku, bez duszy, wśród krwi, kalużą stojącej dokola.

Lament się stał straszny, wołanie, wrzawa, krzyki, ludzie potracili głowy. Chwycono zwłoki aby je poczestnie do namiotu odnieść. Za nimi co żyło Czechów, cisnęło się w rozpacz i trwode. Ci co za Światopłnkiem zabitym przeciw Borzywojowi trzymali, już go widzieli na tronie, a na pniu głowy swoje.

Gdy cesarzowi znać dano o czynie zuchwałym, którego sprawca wśród dnia białego, z pośródka obozu ujść zdołał, Henryk V struchlał, wierzyć nie chcąc wieści. Lecz krzyki, zawołanie, płacz, przekleństwa do namiotu dochodziły.

Niekiedy razem z tysiąców piersi dobywał się jeden wrzask dziki. Umysły coraz straszliwiej się burzyły, zaczęli wołać Czesi, że chcą preez nazad iść do domu, aby Borzywojowi drogę zaprzecć do Pragi.

Ani Groicz, ani starszyzna czeska ludu nspokoić nie mogła, nie słuchano nikogo. Musiał wreszeie sam cesarz z dworem swym wyjść dla nśmierzenia żołnierzy i oddania czei zwłokom swojego sprzymierzenia.

Zbigniew skrył się i plakał z rozpaczy i złości.

Zdalo mu się, że i on już tu życia pewnym nie był. W obozie posądzano wszystkich, nawet Groicza, który w pierwszej chwili zaraz, szwagra Borzywoja cesarzowi przypomniat...

Do zburzonych Czechów przybywszy cesarz, widząc, że ich nawet jego przytomność i powaga nie zdola poskromić, o Borzywoju zapomniawszy, musiał dla nśmierzenia zburzonych umysłów przyrzec starszyźnie, że jej wybór wolny przyszłego króla zostawi.

Co się dnia tego, noey i następnego rana w obozach działo, opisać niepodobna. Nie ma bo może straszniejszego widoku, jak gdy się czerni i zdzieczaly żołnierz rozprzęc, posłuszeństwo wymówi i jak fala morska rzucać pocznie, gdy słowo jedno nim miota to w tę to w ową stronę, gdy sam on wreszeie nie wie gdzie leci i co czyni. Niemców też ogarniała trwoga patrząc na

to obozowisko, na którém kupy ludu rozpasanego to się zbiegały, to rozpraszały, zajałady wzajem, zrywały ku sobie i uspokoić nie mogąc wrzaskiem napelniały dolinę.

W pośrodku ów namiot z marami i ciałem leżącym na nich, około którego plonęły pocho-dnie, plakała służba; uciad, narzekanie, scisk — dopełniał obrazu.

Nieopodal widać było i te wozy żałobne, czar-ne z trupami z pod Bytomia i Głogowa, a w dali gród zaparty, pustynią i za nią ściany borów, w których wróg czyhał ukryty.

Tćżże noey napadnięto na obóz czeski, padło kilkadziesiąt ludzi ofiarą, a gdy cesarsey w po-moc biegli, z drugiey strony na ich namioty wtar-gnęła jakaś kupka, powywracała je i nabiła cze-ladzi.

Cesarz nie tylko stracił był już nadzieję zwy-cięztwa, ale nawet bezpieczeństwo odwrotn. Bole-sław śmielszy coraz, na groblach, w lasach i bło-tach ścigając go mógł wybić do szczętu. Już nie o walkę szło, ale o uratowanie życia z tych za-sieków.

Zbigniew ukazać się nigdzie nie mógł, mówić z nim nikt nie chciał — ukrywać się musiał. Wy-mowny i zręczny teraz języka w ustach zapomniał i pokornie stał tuląc się kątami, aby go jak Świa-topługa nie ubito. W każdym nieznajomym widział nasadzonego zbójcę.

Gdy się nad ranem cokolwiek uspokoiło w obozie, szedł cesarz powtórnie do zwłok modlić się i przytomnością swą żale i niepokój poskramiać. Tu mu przed namiotem żalobnym zaszedł hr. Wacek, przyjaciel zabitego, oświadczając, iż wojsko całe zgodnie Ottona brata Światopługowego królem okrzyknęło.

Zwrócił się cesarz ku Czechom, a w tém imie Ottona obwoływać poczęto. Henryk V skinieniem głowy potwierdzał; trzykrotnie więc, wedle obyczaju, tłumy powtórzyły.

— *Hospodí pomiluj ny!* (Boże zmiłuj się nad nami).

Wybór ten uroczysty trwałym jednak być nie miał.

Tymczasem nie o to szło, kto wybranym zostanie, bo dla cesarza było to obojętne, ale by Czechów utrzymać w obozie. Od pierwszej chwili rwali się do Pragi, chcieli uchodzić, a przestraszeni Niemcy, których siły przez to uszczuplić się miały, zagrożeni odstąpieniem tych, co najlepiej kraj znali — gotowi byli na wszystko, byle sprzymierzeńców zachować.

Zszedł dzień cały na upornych naleganiach, na daremnych poselstwach, na targach bez skutku. Osierocona Praga ciągnęła Czechów, nie mogli, nie śmieli pozostać. Zbigniew zasłyszawszy o tém do Detryszka pobiegł błagać, aby go nie opuszczano. Ale o zbiega nikt się nie troszczył,

pilniejsze miano sprawy, odwracali się wszyscy. Wielkimi obietnicami i zakłęciami zaledwie wymodlić zdołał, że go zabrać obiecano, jeśliby wojsko precz odchodzić miało. Na oczy cesarzowi pokazywać się nie śmiał, bo widok jego Henryka V do strasznego obudzał gniewu.

Napróżno Groiec i inni panowie latali ze słowy cesarskimi do obozu czeskiego, zwijano namioty, ściągano wozy, i nazajutrz o świcie Czesi zabierali się odchodzić, pozostawiając cesarza i Niemców wśród téj pustyni samych, na lup ośmielonemu Bolkowi.

Czuwanie tak wielkie opasywało ich dokola, iż wyjście Czechów jedną godzinę utaić się nie mogło; w ślad zatem Polacy musieli napaść na cesarskich.

Mrocznego poranku ruszyli Czesi z nieje, które zajmowali, nie tak jak szli na Polskę ze wrzawą, śmiechami i odgrózkami, ale z żalobą, ze zwiniętymi proporczykami; zmęczeni, wybladli, smutni i w wielkiej części pieszo, postradawszy konie.

Jako owoce napadu wieźli na wozach trupy, a na jednym z nich, otoczonym starszyzną, stały mary czarno pokryte, z ciałem Światopługowém. Tu jechał Detryszek i przy nim zakapturzony Zbigniew. Księża śpiewali psalmy, wojsko szło jak za pogrzebem. Dano mu spokój do granicy i nikt uchodzących nie napadał.

Strwożony i blady cesarz z namiotu patrzył na te tłumy co go opuszczały.

— Co teraz pocznjemy? — spytał Groieza.

— Musimy to co i oni zrobić — odpowiedział Wiprecht. — Pod niefortunną gwiazdą rozpoczętą wyprawę powetujemy późniój, dziś i my uchodzić musimy.

W duchu pomyślał może Henryk V, iż się rychlój drugi raz na Włochy wybierze, niż w te pustynie, w których życie dać trzeba, a wziąć nie ma co oprócz sromu.

Wieczorem przed odjazdem, z pokorą wielką Zbigniew się dostał do cesarskiego namiotu, choć go podkomorzowie puszczać nie chcieli. Musiał pożegnać Henryka. Zobaczywszy go u progu zwrócił się cesarz ze zwykłemi wymówkami i gniewem.

— Gdzie wasi poplecznicy i przyjaciele? gdzie ci co się to wam poddawać mieli? Jeżeli nie jesteście zdrajcą, to klameą pewnie. Gdybyście mieli tu swoich, czyżbyście uchodzili z Czechami?

Rzucił ręką.

— Od zbójców nasadzonych przez Bolesława życie muszę unosić — rzekł Zbigniew — aby mi się to co Światopługowi nie stało.

Wróćę czasu pogodniejszego!

Szydersko się rozśmiał Henryk.

— Wróćciecie sami! — zawolał — bo ani ja,

ani Czesi nie pójda dla sprawy waszćj w bagnach  
tych śmierdzących grzęznąć!

Cesarz odwrócił się nie skinąwszy nawet, wyszedł do drugićj części namiotu i zasłone za sobą zapuścił.

Takie było jego ze Zbigniewem pożegnanie.

---

## VII.

Nielatwo było Bolesława wyszukać, ale woźnych cesarskich mając z sobą, jadąc jako posel, Groicz, który spodziewał się i szwagra swojego Borzywoja zastać przy królu, puszczał się śmiało. Wziął z sobą kilkanaście koni i na oślep przed się pojechał, kędy zasłyszał, że największe siły być miały.

Rankiem wyruszywszy z obozu, wkrótce znalazł się w puszczy, a i mili nią nie ujechawszy został oskoczony. Zatrąbiono wołając, że posel jest do króla od cesarza jadący na rozmowę. Kupka ludzi jezdnych, która otoczyła Wiprechta, nie czyniąc mu nic złego, ofiarowa'a się prowadzić. Zapowiadano, że król był niedaleko, ale musiał dalej pewnie odciągnąć, bo na równi się



ska, aby powiększył jego siłę, że Ruś już nadciągała.

Z niewoli się wydobywszy Niemiec, który pieczo się przywłókł do obozu, opowiadał o ogromnych tłumach skupionych od granic wszystkich ziem, od Pomorza, z Gniezna, Krakowa, ze wszystkich zamków oddalonych, które położenie samo broniło.

Po odejściu Czechów rachowano, że Bolesław dwakroć miał więcej od cesarza. Rycerstwo się tym uspokajało, że choćby mrowia tego było wiele, źle zbrojne chłopstwo łatwo by pokonali cesarsey; zresztą owi Sasi, Frankowie, Allemani, Turyni, bodaj z przeważającą siłą gotowi byli się potykać, byle się raz ta nieszczęsna skończyła wyprawa. Marli głodem, padali od bezsenności, chorowali od słoty i błota.

A dokola niewidać było nic, stały lasy ciche w barwach jesiennych, pola bezbarwne, strątowane i zbite, błota rozkiszłe i rozlane szeroko. Na pustém obozowisku po Czechach pozostałym konskie kościotrupy ogryzały kruki, walcząc o nie z psami, których gromady wypędzone z Wrocławia, aby ich żywici nie było potrzeba, włóczyły się błędne za namiotami, a gdy noc nadeszła wyły trwogą, jakby klęskę zapowiadały.

Czasem z namiotów wyrwał się rozwścieczony żołnierz, i wypadłszy na tę zgraję złowrogą ode-

gnał ją precz, siadała opodal na wzgórzach i zawodziła straszniej jeszcze.

Wycie to rozlegające się po nocach zdawało się wychodzić z pod ziemi, ryczało z wiatrem do wtórń, rygotało niby śmiechem szyderskim. W nocy, gdy się nieco uciszyło, obozowe czaty dalej wysmiałe słyszały coś jakby stłmiony gwar dookoła. Szumiały to puszcze, czy zrywiali się ludzie! Szmer ten odzywał się niekiedy z boku, zachodził z przodu i znów kołem zataczał się w stronę przeciwną. Zdało się, jakby cicho szły gromady, jakby tęniały końskie kopyta, ale nie widać nie było.

Najśmielsi rycerze pod namiotami leżąc zbrojni napół ledwie cokolwiek pancerzom popuściwszy rzemieni — nie mogąc usnąć, czuli dreszcze przechodzące po skórze, trwożę, jakby na nich wiało śmiercią.

Przed oczyma ich patrzącemi w nieprzebite ciemności przeciągał pochód żałobny Czechów, włókl się i niewidać było końca. Czarne wozy szły, mrok jedne okrywał, drgnie z ciemności wypływały, przesnwały się, niktęły wśród nocy a z otchłani czarnych wychodziły nowe i przeciągały powoli, aż do dnia. Śpiew żałobny księży powtarzał wiatr jesienny.

Nie było i jednego namiotu, w którymby się teraz weselej zabawiano, jak to bywało, gdy z dobrą nadzieją zaciągano pod mury Głogowa. Na-

próżno który z rozpaczny resztkami wina się raczył, aby sen nim sprowadzić; napój korzeniami zaprawny poruszał w głowie też same myśli, co w niej wprzód gościły, roily się tylko i mąciły dziwniej jeszcze.

Pobożniejsi do modlitw się uciekali, aby ich Bóg co rychlej wyzwolił z tych obrzydłych moczarów.

Długo w noc cesarz naradzał się z Groiczem, który jeden cokolwiek lepiej znał te kraje i mógł obmyśleć, jak z nich wynieść calo. Chciał Henryka V, aby go w jakikolwiek zmuszono sposób do odwrotu, ocalając mu wstyd dobrowolnej ucieczki, nie pragnął już nic, tylko się dobyć ztąd ku Łużycom i lasom. Sasi też wzdychali do tego.

Gdy nad rankiem wycie psów ustalo nieco, a ślota z wichrem na lasy się poniosła, w mroczach nadchodzącego dnia, zdalo się czatom obozowym, jakby te lasy co opodal stały, zbliżyły się ku nim.

Ściany jakieś ciemne, nieruchome ciasno ich opasywały dokola. Mrok nie dawał ich dobrze rozcznać.

Niektórzy wpatrując się kociemi oczyma w dal mroczną dojrzeli, że ten las poruszać się zdawał, szedł, przysuwał w milezeniu.

Niewierzyli oczom swym jeszcze. W tém z боку w rogi uderzono na trwogę. Ten jęk powtórzyło wneń mnóstwo trębaezy. Z pod namiotów

wyskoczyli żołnierze, starszyzna dosiadła gotowych koni.

Nie widać nic jeszcze było, jakby daremnie uderzono na trwogę. Wśród eiszy słyszeli tylko niby tchnienie jakiejś piersi jednej potwora, a oddech ten głuchy, niewyraźny ze wszystkich stron nadpływał, jakby olbrzymia rozwarła się gdzieś paszczeka na pochlonicie wojska tego, dysząc głodna.

Dzień się robił. Z za obłoków gęstych, szarych osłaniających niebiosa, światło się przeciskało blade, skąpe, stłumione.

Czaty już mogły dojrzeć na ścianach ruchomych, migające białe ludzkie twarze.

Co żyło w obozie cesarskim powstawało gotując się przeciw temu nieprzyjacielowi mileżącemu, który szedł albo raczej podkradał się tém straszniejszy, że głosu i szmeru nawet nie wydał jeszcze.

Od strony zamku wrocławskiego coś się też poruszało, otwarły się wrota i z nich niby czarny wąż najeżony kolcami, długim cielskiem wysunęła się mileżąca gadzina pełzająca ku obozowi. Wojsko to było.

W obozie rogi nawoływały coraz głośniej, starszyzna latała między namiotami — krzyząc — na konie! Cesarzowi już nawet prowadzono konia jego żelazną pokrytego siatką, dwór jego z kopjami świeącemi ustawiał się do kola. Pro-

porce i chorągwie obmokłe potrząsano próżno wyrrywając z ziemi, opadały jakby się wstydzily pokazać swych twarzy.

Ściany czarne ze wszech stron ogarniały obóz.

Teraz już je rozeznać było można. Tłum znaczny ściśniętych, tarczami wielkimi okrytych ludzi posuwał się z jednej strony, tłum wielki jezdnych zbliżał się z drugiej. Pomiędzy nimi, nieco w głębi jeżyły się włócznie i wiała chorągiew z krzyżem.

Wojsko cesarskie szykowało się do boju, ze trzech stron stawiając czoło nieprzyjacielowi, który tak powoli szedł, że się stać zdawał. Nagle i tam piskliwe rogi odzywać się zaczęły, ściana się ruszyła żywiej.

Z pagórka na którym cesarz stał widać było daleko, a jak zajrzeć mogli ci co najlepsze oczy mieli, widzieli gęste szeregi pieszych zbite w jedno ciało niezmierne, i konnych ponad nimi oddziały mnogie.

Wprawdzie nie błyszczały tam zbroje, żelaza widać było mało, strojów wytwornych nigdzie, szaro, czarno, brnнатno, jak mrówie pelzły te zastępy.

— Czerń i chłopstwo! mruczeli z pogardą rycerze.

Z cesarskiej strony bojowy okrzyk wydali naprzód Sasi, radzi będąc, że się mają z kim bić

Zwarły się najpierwsze boki i jakby w jedną

zwały bryłę. Padł szereg jeden i drugi cisnących się tarczowników od włóczni cesarskich ludzi, ale wnet i konie a ciężko zbrojni rycerze walić się o ziemię zaczęli. Który z nich padł, ten już nie powstał.

Czerń szła na nowe szeregi. Padła, na nią waliły się niemieckie ufcie z loskotem strasznym i słały na ziemi na trupie posłanie.

W tém zastęp, który szedł głęboko w pośrodku oskrzydłony, puścił się jak burza na czoło cesarskich wojsk. Tu i zbroje i włócznie żelazne łśniły i lud był najsilniejszy, tu (domyślano się) król być musiał i wodzowie jego.

Wpadli jak ogromny klin żelazny, gdy na dębową kłodę rozsadzić. Ostrem końcem w bili się wśród rycerzy cesarskich, obalili ich, w cisnęli się między szeregi, rozłamali je na dwoje, poczęli rozsadzać coraz szerzej i obalać jak wichler puszcę, gdy się w nią wdrze.

Cesarz pod hełmem zbladł trupio. Około niego cisnąć się poczęło co najsilniejszego miał, aby go od niebezpieczeństwa osłonić.

Pobojowisko wkrótce zmieniło się w jakiś straszny barłóg trupów zmieszanych ludzi i koni, ponad którymi zwijały się gromady lekko zbrojnych, rozszalałych, jak śmierć niewycieczonych napastników.

Padali jedni, z ziemi wyrastali zastępy.

Stojący przy cesarzu poczęli namawiać go,

aby w bezpieczniejsze miejsce uchodził. Cofano się nteem zwartym. Groiec pobiegł zbierać i gromadzić reszty ludzi, aby ich ocalić.

Zwycięstwo nie było już wątpliwe. Z cesarskich wojsk ledwie część ocalała zebrawszy się przy nim i uszła w dolinę, gdzie naprędce wozy dokola ustawiać i ostrokoly zabijać zaczęto.

Znaczniejsza daleko liczba leżała zgnieciona, pokotem z koni na pobojuwisku szerokiem, i widać już było czeru mnogą, dobijającą rannych, zdzierającą zbroje, gromadzącą lupy.

Dobrze z południa walka była skończona; resztki wojska niewiedziały, czy do ostatniego boju wystąpić będą musiały, czy broniąc pana uchodzić.

Cesarz zatrzymywał ich przy sobie, niecheąc się w sromotną dostać niewolę. Chodził po małym namiocie, który dlań rozbito, ręce łamiąc, klnąc i modląc się na przemiany. Uczynił ślub wielkiego daru dla kościoła w Akwisgranie, jeżeliby go Bóg ocalił. Duchowieństwo odprawiło uroczyste modlitwy.

Wiprecht Groiec to ku pobojuwisku zbiegał, to do cesarza dla uspokojenia go powracał. Ocalała mała gromadka, padły tysiące, a wdali za pobojuwiskiem widać było zatkniętą chorągiew i odpoczywający oddział królewski, który rozbiwszy czoło cesarskich, wywalczył wielkie zwycięz-

two. Henryk kazał przywolać Groicza. Dokoła milcząca stała rada.

— Jedź ty — rzekł — układaj się jako chcesz z nimi, bylebym wyszedł ztąd cały! Czyn co można, a ocal cześć cesarskiej korony!

Pomuszczę się na tym zloczyńcy! Dziś, dziś osobę moją, garść tych rycerzy wiernych, ciała poległych ratować trzeba. Idź! idź!

Zaledwie dziesięciu całych ludzi znaleźć mógł Groicz, aby mu towarzyszyli, trębacza z rogami wziął, rozkazując jechać przodem z zieloną wierzby uciętą gałęzią.

Ruszyli wprost ku chorągwi Bolesławowej powiewającej wdali, na której jednej stronie krzyż, na drugiej rycerz konny ukazywał się na przemian.

Widok bolesny a straszny miał Groicz przed oczyma. Przez pobożowisko przejechać nie było można. Pobożność i poszanowanie ciał chrześcian nie dopuszczała trącić trupów, a minąć ich nie było podobna. Uścielały ziemię, gdziekolwiek leżąc jedne na drugich, jak wał zapierały drogę.

Groicz poznawał twarze przyjaciół zbladłe, które mu się wczoraj śmiały, dłonie martwe, które ścisnął rano.

Tłum już poodzierał pobitych, leżały ciała żółte, sine, czarnymi plamami krwi okryte, posieczone i poprzebijane. Konie na czołwieku, trup na



trupie... Z pod kopyt końskich krew ściekła w kałuże tryskała.

Groiec rzucić się musiał w bok, by nieszczęsne pole owe ominąć. Zbliżał się wieczór, pospieszać było trzeba. Wprawdzie czerń już na pozostałych napadać dziś nie myślała, lecz Bolesławowi żołnierze zdawali się już wypocząwszy gotować do nowej walki, taki ruch był około wielkiej chorałgi.

Zjechawszy z pobojuwiska Wiprecht popędził dając rogiem znać przed sobą, że na rozmowy przybywa.

Rycerz konny wybiegł naprzeciwko niego, stanął. Czekal. Skarbimierz to był cały krwią oplamiony, a z pochw miecza jego zgasła posoka kroplami ściekała jeszcze.

Rozpalony bojem dyszał strzymując konia, który mu się rwał jak oszalały, nogami ziemię rozbijał, pienil i zdawał się chcieć kąsać. Nieco opodal bez namiotu otoczonego drżyną widać było stojącego króla Bolesława. Helm zdjęty trzymał w rękę, włos rozpuszczony na ramiona mu spływał, oko świeciło tryumfem. W prawo widać było ołtarz i stojący na nim krzyż, przed którym za zwycięstwo Bogu dzięki składano.

— Cesarz mnie przysyła — odezwał się Groiec — do króla jadę w poselstwie.

Skarbimierz zawrócił z nim razem.

Pomiędzy otaczającymi króla widać było wielu

rannych, zawiązywano krwawe ciosy, poprawiano zbroje, jedni pili wodę, drudzy konie opatrywali pokaleczone, inni z głośnym krzykiem opowiadali dzieje dnia tego.

Gdy Groiec się przybliżył, Bolesław parę kroków postąpił ku niemu. Poseł w początku przemówić nie mógł.

— Królu — począł telnawszy ciężko — Bóg za nasze grzechy dał wam zwycięstwo; bądźcie w szczęściu pomiarkowani. Cesarza pokonać możecie, nie pokonacie cesarstwa. Przychodzę do was — pytając — czego chcecie od nas?

Bolesław poważny stał, posępny już prawie. Znikło z twarzy wesele.

— Dla siebie nie chcę nic — rzekł.

— Dacie nam wyjść bezpiecznie! — zapytał poseł.

— Idźcie — odezwał się król — a nie powracajcie. Ziemia to uboga, łupów wam nie da, lud waleczny swobody swój tak bronić będzie, jak dzisiaj.

Dla siebie — powtórzył — nie chcę nic.

— Wspaniałym jesteś królu i szlachetnym — rzekł Groiec.

— Jestem rycerzem chrześcijańskim — odezwał się Bolko — leżącego na ziemi nieprzyjaciela nie dobijam.

Dla siebie nie chcę nic — powtórzył raz trzeci król — lecz dla Borzywoja, szwagra waszego żą-

dam tego, co mu należne: czeskiej korony. Z nim od granicy spokój mieć będę.

Groicz pokłonił się.

— Dziękuję wam — rzekł — czynicie tём i dla mnie łaskę, bratu memu miłemu wracając dziedzictwo jego.

Leez, możliweli to? wojsko i starszyzna obrała już Ottona.

— A jutro może wybierze Władysława — przerwał Bolko — lecz cesarz ma prawo zwierzchnie nad czeską koroną, może ją dać Borzywojowi.

Wskazał na stojącego obok księcia, który mu się do ręki rzucił wzruszony. Uściskali się milczący.

— Cesarz mi to słowem swém nroczytém zaręczy — dodał Bolesław. — Borzywój niech jędzie z wami, słowo to niech weźmie przy świadkach nroczyte. Potém niech cesarz spokojnie ciągnie przez ziemie moje, nietknie go nikt. Dość już trupów legło.

Ręką wskazał na straszne pobojuwisko.

Ciemno być zaczynało, pozsiadali z koni.

— Zbigniew gdzie jest? — zapytał król.

— Uszedł z Czechami za ciałem Światopluga — poczał Groicz — ciebie królu i Wrszowiców obmawiają o zamordowanie jego.

Bolko głową potrząsnął.

— Wrszowice prawo odwetu mieli — rzekł — wzięli tylko dziesięcinę za krew swoją. Ten co

poszedł wśród obozu cesarskiego zemsty dokonać za ojców i braci zabójcą się nazwać nie może, ale bohaterem! Życie stawil za swoich i Bóg mu poszczęścił.

Rozmowa cicha przeciągnęła się jeszcze, noc tymczasem zapadala. Zabrawszy z sobą Borzywoja i Sobiesława ze dworem ich, Wiprecht odjechał nazad zdala omijając krwawe pole. Król zarazem wysłał rozkazy do wojska, aby cesarskich napastować się nie ważyli.

Strasznym był widok pobojuwiska po dniu, ale stokroć okropniejszy się stal wieczorem. Czerni powstrzymać nie nie mogło od odzierania trupów; z zażęgniętymi galeźniami i pochodniami chodziła wśród nich zabierając leżący jeszcze oręż, zbroje, i odzież.

Czerwone ognie i dymy oświecały białe stosy ciał powywracanych i odartych.

Psów głodnych gromady, które były wczoraj, dziś ściągaly się lakome na ściernie koni i na ludzkie ciała, w oczach żywych rozrywać zaczynając ledwo zastygłe trupy.

Ujadanie ich słychać było wśród nocy. Odegnane przez ludzi stada to pierzchały ze szczeniem, to wracały gryząc się jak wściekle na pastwę straszną.

Skomlenie, wycie, szczekanie rozlegały się przez noc całą.

W milezeniu pominęli jadący owo „psie pole“

wielką mogilę, na której gniew pański zdawał się mścić najazdu cudzej ziemi.

Nazajtrz pod wodzą Groicza ruszły niedobitki cesarskie napowrót w milczeniu, wioząc jak Czesi na czarnych wozach ciała dostojniejszych rycerzy. Była to jedyna zdobycz z tej wyprawy pamiętniej, o której dzieje cesarskie zamileć wolaly.

Zbigniew w Czechach szukał schronienia. Dał mu je po Ottonie wybrany Władysław, który mimo słowa danego Borzywojowi przez cesarza, na tronie się utrzymał. Henryk mógł tylko dla oba wygnanych Borzywoja i Sobiesława wyjednać przebaczenie i małe dzielnice.

Gdy się o to układano przypadł i Zbigniew, błagając aby mu Bolesław dał przynajmniej taki udział, jaki Borzywój otrzymał.

Opierali się temu panowie. Szlachetny Bolesław uległ raz jeszcze. Wyznaczono mu małą dzielnicę i zamek, w którymby mógł żyć spokojnie.

Ufając zapewne w Czeskie poparcie, w łaskę i opiekę cesarską. Zbigniew powrócił do Polski nie jak ulaskawiony winowajca, ale jak książę udzielny przy odgłosie trąb i okrzykach, na znak władzy miecz rozkazując nieść przed sobą, aby się Bolesławowi uragał.

---

## IX.

Dziesięć lat upływało od śmierci króla Władysława Hermana, w ciągu których walka dwóch braci z sobą nieustawała.

Jesiennego dnia ciemnego na malém zamczysku w Szląsku, które Grodziskiem zwano, stały wrota świeżo wylamane, przy których widać było ślady rozpaczliwej a bezsilnej i próżnej obrony. Podwórze pełne było koni i ludzi, gwar głuchy dolatywał niekiedy z izb wewnętrznych.

Kilku żołnierzy powiązanych sznurami, jęczało leżąc na podłodze w przedsieniu.

Zameczek lichy był i źle opatrzony, sam dworzec w nim do szopy podobny. Kawał tylko muru przypierał do niego, a i w tym okna widać było bez błon, otworem stojące i ściany od sloty popsułe.

W większej izbie na dole gromada tylko co przybyłej starszyny stała knpą, zdając się naradzać z sobą.

Na czele jej był stary wojewoda Magns, który znudzony i ociążał wiekiem na ławie już przysiadł, podparł się na rękę i dyszał, a czolo mu się faldowało wielką troską i niepokojem. Inni dokoła stali rozglądając się i gwarząc.

Żelislav Bezręki, Skarbimierz Jednooki, Wójśław, kilku innych wojewodów i starostów, urzędników króla i dowódców, pierwsze miejsca zajmowali.

— Na smnienie nasze wziąć potrzeba nkara-  
nie winowajcy, a raz z nim skończyć! Winien  
oddawna przypłacić głową. Król a pan nasz, któ-  
rego on tyle lat walki, tyle srogiego niepokoju  
kosztuje i teraz jeszcze nkarać go nie będzie  
miał serca.

Naszą sprawą winien być sąd i kara.

Tak mówił powoli Skarbimierz.

— I ja z wami głosuję — odczywał Żelislav —  
niech raz kraj wypocznie, niechaj się te zdrady  
ukrócą. Śmierć! śmierć!

W tem wojewoda stary zapytał.

— Cóż mówił król? co mówił? czyście go  
wyzrozumieli?

Skarbimierz się zawahał.

— Nagłiliśmy nań, aby koniec uczynił, chcia-  
łem słowa od niego, rzekł mi w ostatku —

Czyńcie co uznacie słusznem, czyńcie co potrzeba dla spokoju mojego i waszego, a nie pytajcie mnie i nie żądajcie odemnie, abym na własną krew wyrok wydawał.

— Więc nam sądzić i wyrokować kazal — wtrącił starosta Boruta — sądzmyż i wyrokujmy, jako Bóg przykazał.

— Bez sądu — zawołał inny z boku — bez wyroku, stokroć na śmierć zasłużył. Najmniejszy człek w tém królestwie wić co czynił, na zagładę brata a króla groził i nasadzał, przysięgał pięć-kroć i łamał przysięgi, z nieprzyjacioły się wiązał. Dopóki żyw, póty się nie odmieni, będziec tém, czem był — zdrajcą!

Magnus z ławy — wtrącił.

— Śmierci winien! pewnie. A gdy mu ją dać każemy, co powie pau? co powie?

— Rad będzie, że wolen zostanie — rzekł inny.

— Nie znasz ty go — począł stary wojewoda. — Na polu bitwy krwi on ani swęj, ani cudzěj nie żałuje, ale brata zgładzić, choćby brat zdrajcą był jawnym, nie zechce. Lat dziesięć się to ciągnie. W rękę go miał, u nóg go trzymał, sąd Boży skazał, on przebaczył.

Gdy wyrok wydany, znienawidzi nas zań! Boleć będzie.

— Niech boleje i odboli, byle raz bezpiecznym był — rzekł Skarbinierz cichym głosem. — Nie było końca i nie będzie znowom. Słał na nas



kogo mógł. płacił, prosił. prowadził, knowania nie ustawały nigdy. Mamy go w ręku, zabić plu-gawego przecheć, zabić.

— A no! zabić! — powtórzyli inni.

Gdy się ten wyrok rozległ po pustej izbie, zdało się jakby ci sami co krwawe wyrzekli słowo, ulekli się go. Długo potem trwało milczenie. Stali z oczyma w podłogę wlepionemi. Na brata królewskiego, na królewskiego syna wyrok wydali.

— Zabić! no to zabić! — powtórzył po przestanku głosem śmiałym Boruta. — Dawno li temu, jak mu cesarz i król czeski wyprosili tę dzielnicę, aby na niej spokojnie paskudnego życia dokończył? Zdrajca, zamiast przybyć pokornym, paść do nóg miłościwemu panu, zajechał na dwór z wrzawą, gędzką, lutniami, rogami, jak zwycięzca; zamiast przebłagać, stawiał się zuchwale, a nazajutrz pochwyciono mordercę, którego nasadził, aby króla nożem przebił.

— Tym nożem go w serec — zawołał Skarbimierz — tym! niech żywot ohydny skończy.

Magnus ręką czoło tarł, i niemal jęcząc — wołał.

— Co czynić! co czynić! potrzeba się go pozbyć, a niechciałoby się na gniew pański narazić. Boruta ramionami zżymnął.

— Nie żywić go! Na pułak i koniec.

— Nie chcecie mu życia brać! — odczuwał się

jeden ze starszych — oczy mu kazać wyjąć i niech marnie dogorywa.

— Póki on żyć będzie, o! i bez oczów siać zdrady nie przestanie — przerwał Skarbimierz. — Lepszym od niego wzrok odejmowano, temubym stryzecek przystał.

— Krew to pańska! — podszeptał ktoś zcieha. Zamilkli nieco.

W tém na progu duchowny się ukazał w sukni zakonu benedyktynów.

Mężczyzna był lat średnich, ale żywotem asceetycznym przed czasem postarzały, blade, schudzone, wąty na pozór, choć wzrok jego i ruchy zdradzały tę siłę wewnętrzną ducha, która ciała daje potęgę mogącą się oprzeć największym męczarniom. Wśród tych ludzi wojny i oręża, ciałem dzielnych, rozrosłych, nawykłych do rozkazywania i walki, człowiek ten mały, pokorny, słaby wydał się jakby istotą z innego świata.

Wejrzenie jego miało w sobie coś jasnego, przenikającego, sięgającego do głębi i zmuszającego do poszanowania. Szedł krokiem powolnym trzymając w rękach pod szkaplerzem książeczkę i zdawał się szukać kogoś, gdy przeciwko niemu wystąpił Skarbimierz i pochyliwszy się, w ramię go pocałował. Mnich spojrzał ku niemu ze smutnym półuśmiechem, oczyma zadając mu pytanie.

— Ojcie Łukaszu — odezwał się Jednooki —

prosiłem was, abyście mi towarzyszyli nie nadaremnie.

To, com przewidywał ziściło się, winowajcę wielkiego, osądzonego na śmierć mamy w rękach. Człowiek to urodzenia znacznego, ale winien zdrady, mordu, przelewu krwi i wszelakich zbrodni. Godził podstępnie na żywot pawa naszego.

— Na śmierć zasłużył stokroć! — szemrał otaczający.

— Raz z nim skończyć! — mówili drudzy.

— Życie dać powinien! nie ma dlań przebaczenia! — rzekł Boruta.

— Nie chcemy, aby ginąć mając nieprzejednany z Bogiem poszedł przed sąd jego — dodał Skarbinierz. — Gdyby nawet wyrok łaskawszy wypadł i oczy tylko miał stracić, któż wie, czy potem wyżyje.

O. Łukasz pilnie słuchał wpatrując się w mówiącego.

— Nigdy z Bogiem pojednanie nie zaszkodzi — rzekł spokojnie. — Sąd i kara nie do mnie należą, co moim obowiązkiem, to spełnić.

Sklonił głowę i poruszył się jakby bez dalszych rozpraw iść był gotów.

Magnus klasnął w szerokie dłonie. Wszedł natychmiast człek stary już, z krótko postrzyżonym włosiem, w grubą odzież, z drągami żelaznymi w ręku i nożem za pasem. Twarz miał okrągłą, poczwarnie brzydką, z wyrazem bydlęcym i oso-

wiałym. Stanąwszy w progu patrzył z pod brwi nawisłych oczekując rozkazania. Wojewoda Magnus odczuwał się doń aby księdza, który już ku progowi szedł, do więzienia prowadził. Sam, jakby go tych kilka słów zmęczyło, padł na ławę westchnąwszy, podparł się na dłoniach i zadumał.

Ciężył mu wyrok wydany.

Stojący szeptali pomiędzy sobą i naradzali się jeszcze, a Boruta głośniej od wszystkich co chwila po słowie wtrącał.

— Nie żywić go! gdyby nie on, ja bym syna miał! gdyby nie on, Żegota by miał ojca! gdyby nie on, tysiąceby ludzi nie poginęło. Zdrajca dziecięćkroć niech ginie.

Gdy duchowny wychodził przeprowadzany przez Skarbiunierza, rozprawy hałaśliwe na nowo się rozpoczęły.

Stróż prowadził księdza mileząc z sieni ku drzwiom wiodącym do murowanej części zamczyska.

Otworzył je z wysiłkiem podnosząc drag, którym były zaparte i wpuściwszy duchownego, zaryglował je ze środka. Przeszli izbę pustą ostawioną ławaniami dokola, drugie drzwi odemknął do mniejszej komory, do której w dół nieco zstępować było potrzeba. Naostatek jeszcze jedne drzwi rozwarł powoli i wpuścił przychodnia do

napół ciemnej izby, której okno kratą obwarowane wysoko w ścianie było wybite.

Tu na mizerném posłaniu wyszarzaną skórą pokrytém leżał więzień. Usłyszawszy szelest podniósł się nieco i przypatrywać się zaczął zbliżającemu powoli.

Zbigniew to był, lecz lat tych ostatkiem zmieniony straszliwie, do niepoznania prawie. Twarz mu nabrzęklą porały gniewy. Żółć zjadła skórę występując na nią plamami ciemnymi; ciało nieforemnie się rozlało, oczy złe patrzyły jak ślepia zwierzęcia co ma się rzucić na pastwę. W rysach zgniecionych namiętnościami, zękanie, męczarnie gniewów bezsilnych wypiętnowały się zwierzęcą niemal bezmyślnością i rozpaczą. Po sukni poznawszy mnicha, Zbigniew począł się w niego wpatrywać coraz baczniej, drgnął, podniósł się z łoża, przystąpił i krzyknął ręce łamiąc.

— Łukasz!!

Dawny towarzysz z Saskiego klasztoru poznał już był wprzód nieszczęśliwego księcia, ale stał nieporuszony, spokojny, oczyma wlepionemi wen, badając okropną zmianę w tym, którego znał niegdyś tak jeszcze życia pełnym.

— Jam jest! — rzekł cicho — nie mylicie się, jam jest!

Słowa te wyrzeczone zimno, z wielkim ducha spokojem, zabrzmiały dziwnie w uszach Zbignie-

wa, który pomyslawszy krótko, powrócił na łóżę i rzucił się na nie mrzeżący...

Przypominał sobie lata dawne, pomyślał pewnie, że po nim nie się spodziewać nie może.

— Czegożeś tu przyszedł! — odezwał się książę — kto cię przysłał?

Co mi przynosisz?

— Przychodzę niosąc ci pociechę — odparł O. Łukasz — przychodzę cię pojednać z Bogiem?

— Co to ma znaczyć? — zawołał książę — mów mi jasno?

O. Łukasz zawahał się.

— Spowiedz nigdy duszy nie szkodzi, ulgę przyniesie — rzekł powoli — unikając wyraźniejszej odpowiedzi.

— Ha! śmierć mi gotują Bolesławowskie katy? — krzyknął Zbigniew.

— Nie wiem — szepnął cicho O. Łukasz.

— Ja to wiem i bez ciebie — ponuro począł książę — wiem! tak! śmierć mi gotują! Dostałem się w ich ręce! czemu nie ubili mnie dawniej? Ten sam Magnus! służyłem mu za narzędzie, naówczas mi się kłaniał. Dziś ja zawadą Bolesławowi i im. Pierworodny syn królewski!

Uderzył się ręką w piersi.

— Młodszy powinien mi być ustąpić i zginać, a ja panować! Ja! winien jestem, że tego samego chciałem co on? W nim to enotą, a we mnie zbrodnią!

Mówił rzucając się, przerywanym głosem jak w gorączce, ksiądz słuchał wpatrując się w niego bacznie, z wyrazem niewysłowionego smutku, żalności i politowania.

— Zwróć myśl ku Bogu! — szepnął cicho.

Głową strząsnął tylko Zbigniew, myśl jego od ziemi się oderwać nie mogła.

Mówił sam do siebie.

— Śmierć? śmierć? za co? Bom szczęścia nie miał! słyszysz Łukaszu... Śmierć!!

Dziki śmiech wyrwał mu się z ust, wyciągnął pięść dużą, obrzękłą do góry i uderzył nią w łóżę.

— Szczęściami nie miał? Szatany, psy, podli i niekzemni, bestye zjadliwe, gadziny jadowite, mają szczęście i chodzą w koronach, ja go nie miałem i głowę dam?

Słyszysz Łukaszu!

Ksiądz mileżał ciągle.

— O duszy myśleć — odczwał się łagodnie.

Wyrazów tych wiezień nie słyszał lub nie rozumiał — powtarzał łajania i przekleństwa.

— Spróbujcie modlić się ze mną... pokój spłynie na duszę — rzekł O. Łukasz i nie czekając odpowiedzi — począł:

— „Boże wielkiego miłosierdzia miej litość nad grzeszną duszą moją...”

Zbigniew zamiast powtarzać modlitwę — zawołał gwałtownie.

— Dziś, czy dziś jeszcze chcą mnie zadławić te zbóje?

O. Łukasz ramionami poruszył.

— Błagam was — odezwał się — o duszy swęj myślecie. Ja nie wiem nic, prócz że przyszedł ze słowem Bożem do duszy waszój.

Zbigniew milczał, duchowny korzystając z pozorowego uspokojenia ciągnął dalej wpatrując się w nieszczęśliwego.

— Mówmy modlitwy!!

Jakby nie rozumiał, Zbigniew się zerwał z łoża szybko, jakąś myślą pchnięty i przystąpił do O. Łukasza.

— Nosiliśmy suknię jedną — odezwał się — pomnicie? Znam serce wasze liściowe...

Ratujcie mnie! ratujcie!

— Ratować też przybyłem — odrzekł O. Łukasz — o ile w moey mój jest. Ratunek duszny niosę wam.

Zmarszczył się książę i nogą uderzył w podłogę.

— Ratuj mi życie! rozumiész! — zawolał — nie dopuść gwałtu! Wstrzymaj tych katów, królowi daj znać. Bolesław mi życie daruje...

To mówiąc dłoń położył na ramieniu księdza, który drgnął od tego dotknięcia i cofnął się nieco.

— Uspokóje się, posłuchajcie mnie — rzekł — Gdybym mógł, ja biedny mnich, poszedłbym pieczo prosić za wami. Uczynię co w męj moey.



Nie przetoż powinniście duszę oczyścić!! Módlmy się razem.

Wezwania tego Zbigniew ani chciał słuchać, odszedł ku łóżu niepokojny, rzucił się na nie, zerwał, przebiegł ciasną izbę bijąc o ściany jak osleply.

O. Łukasz oczyma gonil go i powtarzał na próżno.

— Módlmy się.

— Modlić się? — odparł wreszcie oszalały — modlić się? ja klnąć tylko mogę i narzekać! Ja nie mogę się modlić.

Zmęczony miotaniem się książę, przywlokł się do łóża i obalił na nie twarzą do góry. Jęczał dziko, nie mogąc słowa przemówić. Litość poruszyła O. Łukasza, który wstał zwolna i ku niemu się zbliżył. Stał nad łóżem, ujął rękę jego ostrożnie.

— Litujcie się nad sobą! — rzekł — co może rozpacz taka, którą szatani duszę przeciw Bogu buntują! Ukorzeć się, żałujcie grzechów, myślcie o niebie.

Zbigniew głową potrząsł.

— Po to mnie wypuścili z klasztoru — krzyknął — jak dzikiego zwierza z klatki, aby mnie szczuli psami i bawili się męczarnią moją. O! czemu, czemum nie pozostał z wami!!

— A nie samiżście chcieli w ten świat zwo-

dniczy — odparł O. Łukasz — nie pragnęliścież władzy, panowania, siły?

Zbigniew nie odpowiedział, podniósł głowę tylko i począł zniżając głos.

— Ocal mi życie! wiesz! mam jeszcze zakopane skarby, oddam je zakonowi wszystkie. Wdzięczę suknię waszą, wyrzeknę się świata... Benedyktyni wezmą dzielnicę moją, wszystko dam na kościoły! ocal mi życie!

Porwał księdza za rękę i gwałtownie całować ją zaczął.

— Ocal mi życie! życie mi zachowaj! bracie Łukaszu!

Kapłan odsunął się był nieco, Zbigniew nie słysząc odpowiedzi, z łóża wstał, ukląkł przed nim i za nogi go ścisnął, coraz goręcej — wołając — ocal mi życie.

— O! bracie mój! bracie mój — rzekł naostatku benedyktyn — gdybyście tak się troskali, tak gorąco pragnęli żywota wiecznego, jak doczesnego pragniecie!

Odpowiedź ta jak zimną wodą oblała księcia, który się porwał i krzyknął z gniewem.

— Klechę przebrzydłym byłeś i będziesz.

O. Łukasz stał niewzruszony, najmniejszy wyraz gniewu nie zmienił mu twarzy pogodnej i liutością tętnącej.

Wśród więziennego milczenia, słychać było tylko oddech i sapanie zburzonego rozpaczą i gniewem.

wem księcia. O. Łukasz siadł na ławeczce i począł odmawiać modlitwę.

— Ojeze miłosierdzia.

— Dajże mi pokój z tą modlitwą! zaryczał głos z łoża. Przysłali cię, abys mnie spowiadał? Powiedz im, że przygotować mnie potrzeba. Zyskam na czasie... Niewyspowaданego mnie nie zgladzą!! Dosyć tego! O. Łukasz spojrział nań i zamilkł.

— Kto tam jest oprócz Magnusa? — zapytał nagle Zbigniew.

— Nie znam nikogo oprócz Pałatyna Skarbi-  
mierza — rzekł ksiądz.

— Najzjadlejszego z wrogów moich! — krzyknął Zbigniew porywając się — tego jednego dosyć, aby mi przyniósł śmierć!

— Módlmy się — powtórzył duchowny.

Zbigniew wstał i nie zważając nań, chodząc począł, przystąpił do drzwi, uchwycił za nie, potrząsnął niemi, zawarte były.

Stróż usłyszawszy szelest, rozwarł je napół, a zobaczywszy więźnia, gwałtownie zatrzasnął.

— Módlmy się! — błagając mówił O. Łukasz.

— Milcz, kłecho! — rzekł stając naprzeciw niego Zbigniew i podnosząc pięści ściśnione, milez! Powiedz im, żem wściekły, że spowiedzi słuchać mnie nie mogłeś. Mają prawo wziąć mi życie, ale nie gubić duszę...

Pochylił się ku niemu.

— Daj znać królowi! Wszystkie skarby moje Benedyktynom przekażę, oddam. Suknię waszą oblekę...

— Uczynię co mogę — odezwał się ksiądz z politowaniem, — lecz dla siebie samego, na błaganie moje pomódlcie się, to wam ulgę przyniesie.

Zbigniew głową rzucił. Co innego miał na myśli.

— Bolesławowe molossy, psy na mnie zażarte! — począł znowu zgrzytając zębami. — Krwi się mojej chcą napić, ciałem napasć! Czekali na to długo! Wilki wściekle...

Obu rękami pochwycił za głowę na pół wyłysiałą, około której włos spadał w nieładzie.

— Módlmy się — jeszcze raz szepnął duchowny.

Rzucił się Zbigniew.

— Mówilem! — krzyknął — ani się modlić, ani spowiadać nie mogę, nie chcę, nie będę. Nie będą śmieli zadać mi śmierci w stanie grzechu! Dlatego zdrajcy was tu nasłali, z waszą kleszą pokorą i błaganem, abyście mnie przygotowali im na pożarcie... Macie jak kncharz przyprawić im pastwę! Nie z tego... Nie! nie!

Wolał coraz gwałtowniej.

Ksiądz Łukasz ze złożonemi rękami przykląkł przed zrozpaczonym.

— Na dawne nasze w Jezusie Chrystusie braterstwo! zaklinam was! — zawolał — módlmy

się! Uspokóje się, proszę będą za wami! Czas upływa!

— Chcę by upływał! — wybuchnął Zbigniew — niech uchodzi!!

Odsunął się od klęczącego i poszedł na łożo, wyciągnął na skórce, głowę zakrył, milczał, dysząc ciężko.

Po kilkakroć chcąc go jeszcze przywieść do opamiętania, ksiądz przystąpił i ręką potrzęsnał, leżący wyrывał mu się gniewnie. Nagle jakby doprowadzony do niecierpliwości ksiądz zerwał się z posłania, chwycił O. Łukasza za barki i popchnął go ku drzwiom, w które obu pięściami bić zaczął.

Stróż otworzył. Zbigniew nie dając ani przemówić, ni się odwrócić księdzu, wyrzucił go za próg.

Chwilę stał jeszcze u drzwi kapłan z głową spuszczoną i wolnym krokiem powrócił do izby w której wojewodowie zgromadzeni byli.

Mrok nie dozwalał już rozeznąć ich twarzy, siedzieli na ławach pod ścianami oczekując i rozmawiali cicho między sobą. Spór i hałaśliwe rozprawy ustały.

Gdy ksiądz ukazał się w progu, Magnus podniósł się pierwszy i postępując ku niemu, spytał.

— Spowiadał się?

— Miłościwy panowie — odezwał się poważnie kapłan — to człowiek w rozpacz, niewła-

dnący sobą Ani się spowiadać, ani słuchać, ni zrozumieć nie może... Szalony jest! Nieszczęśliwy! Litość nad nim mieć potrzeba!

Starszyna spojrziała po sobie.

— Ojcie wielbny — rzekł Skarbimierz — wszelką litość wyczerpał ten człowiek... Chcemy czynić cokolwiek można dla duszy jego. Pozostaniecie proszę, opamięta się może i zażąda was.

Zaczęli między sobą szeptać wojewodowie. Po chwili Magnus, Skarbimierz i Żeliszaw wyszli z izby. Wszyscy trzej razem skierowali się milczący do więzienia.

Gdy ostatnie drzwi otworzył im stróż, Zbigniew leżący na posłanin, podniósł głowę, popatrzył, zerwał się na nogi zataczając i oczyma błędnymi wodząc po nich — wybuchnął.

— Ha! przyszliście zbrojcy po życie moje? Króla waszego krew przelać chcecie!

— Nie — przerwał głosem ogromnym, nakazującym milczenie Magnus. — Przyszliśmy po głowę zdrajcy! Zdrajcy nie trzykrotnego, bo trzykroć i czterekroć był przebaczonym, ale niepoprawnego zdrajcy, co na życie króla pana naszego nastawał, który nań nasyłał morderców, któremu zapomniano jego niegodziwości, a poprawić się nie chciał... Królby wam raz jeszcze przebaczył, ziemię naszą i ziemianie nie mogą.

— Wy! mnie! przebaczać! — zerwał się gwałtownie Zbigniew. — Wy mnie! katy i niewolniki!

Jam wasz pan prawy! Ja! nie kto inny. Tamten co się waszym królem nazywa zasłużył na karę, bo mi wydarł prawo pierworodztwa, królestwo moje! On jest złodziejem, nie ja zdrajcą! Słyszycie!

I zaśmiawszy się padł na posłanie.

— Milecie! — zawołał Skarbimierz.

— Nie mówić! nie wołać! ale krzyzczeć i wrzeszczeć i ryczeć będę — odparł Zbigniew pięści wznosząc. — Niech słyszy cały świat co za zbrodnia się tu dzieje! Ja jestem panem waszym!! Ja!

— Milecie! — powtórzył Jednooki nogą bijąc o ziemię.

Magnus przystąpił o krok bliżej.

— Gdy wam łaska ojcowska a miłosierdzie Ojca Marcina do królestwa tego przypuszczenie wyjednało, jakżeście się za to wywdzięczyli? Król na marach leżał niepogrzebiony, gdyście bunt podnieśli! Co później? Wszystkie wrogi nasze pędziliście na nas, nasyłaliście pogan, zbójców, prowadziliście nieprzyjaciół na brata?? Kto Czechów, kto cesarza, kto Pomorców i Prusaków na nas burzył?

— Tak! ani się zapieram — przerwał podnosząc się Zbigniew — tak! Odarty, wyzuty, krzywdzony upominałem się o swoje! Szukałem opieki u obcych, gdym jej u swoich nie znalazł! Tak! Ząb za ząb, zdradzony mściłem się zdradą.

Wojewodowie spojrzeli po sobie, nikt nie od-

powiadał. Magnus począł zwolna, jakby wyrok głosił.

— Nie wolą królewską, ale sądem wszystkich ziemian, wojewodów, starszyzny, władyków, osądzeni jesteście...

— Ja? przez was? — wykrzyknął nie dając dokończyć Zbigniew. — Alboście to wy mnie równi, byście śmieli mnie sądzić? Papież tylko, cesarz, królowie sądzić mnie i potępiać mają prawo, nie wy ezerń, ludzie z gmin wyszli...

Spojrzeli po sobie trzój sędziowie.

— Będziecie się na to skarżyć przed trybunałem Bożym, przed którym i my stanimy — wtrącił Skarbimierz pogardliwie. — Na sunieniu mieć was nie będziemy. Nie jedną, ale dziesięciu śmierci winniście! Więcej przeleliście krwi wiader, niż z was kropel wytoczyć można.

Zbigniew klął i belkotal, podniósł się nagle widząc Magnusa cofającego ku drzwiom.

— Wojewodo — zmienionym głosem począł — wojewodo! Bóg nas będzie sądził! Niech tu przyjdzie ksiądz, niech przyniosą Ewangelię, krzyż, hostyę, przysięgnę na nich przy was, — nie chcę nie! Życie mi zostawcie! Oblekę znown habit zakonny! pójdę na wieki do klasztoru!

— Złamaliście wiele takich przysięg uroczystych — rzekł Skarbimierz.

— Tęj dotrzymam! — zawołał Zbigniew.

Była chwila straszego milezenia.



— Życia wam nie wezmą — odezwał się Magnus.

Książę poruszył się, odetchnął, powstał.

— Więzienie? — odczuwał się głosem orzechwionym.

Nikt nie odpowiedział.

— Poddajcie się losowi waszemu — dodał Magnus — jaki wyrok wydano, spełnić się musi.

Rzucił się książę za nimi, gdy już wyszli pośpiesznie i drzwi zatrzaśnięto.

Cicho było i ciemno. Więzień odetchnął, pot ocierając z czoła.

W przedsieni u izby u progu kroki i głosy ludzi słyszeć się daly. Trwoga ogarnęła go znowu. Z pod skóry, którą łoże było okryte, Zbigniew dobył nóż wsunięty głęboko i schował go w rękaw sukni.

U drzwi szmer i szelest jakiś się powiększał, szeptano i umawiano się. Słychać było niewyraźne, przerywane, dziwne głosy i śmiechy dzikie. W więzieniu panowała ciemność, przez szparę drzwi jak ostrze jakiegoś miecza ognistego wpadło światło, zadrzęło na podłodze, pasem nad głową jego zarysowało się na ścianie.

Zbigniew skulony na łożu, ciskając nóż w rękę spotniał, drżał i zęby mu się ścinały. Okiem obląkanem powiódł ku oknu, które wysoko stało nad głową, niedosiężone dla niego. Rękami objął

mur gładki, i oszarpięte dłonie opadły. Obejrzał się dokoła, nie było ratunku, kryjówki, ujścia.

Drżenie zmieniło się w dygotanie całego ciała, głowa się trzęsła, nogi chwiały; palce to ścisnęły gwałtownie, to bezsilne rozchodziły, pot zimny spływał po skroniach.

Za drzwiami ciągle jeszcze mrnczenie trwało, spór stłumionych kilku głosów. Światło przez szparę wpadające przesuwało się i chodziło po izbie, podnosiło do góry i spadało. Po kilkakroć słychać było rękę, która chwyciła zasuwę drzwi i zsunęła się z niej z wolna. Spierano się jeszcze to głośniej to ciszej.

Oczekiwanie jak wiek trwało długo... Już Zbigniew uspokajać się nieco zaczynał, gdy nagle, gwałtownie zasuwę drzwi opadły z trzaskiem, i stróż ow z niskim czołem, z twarzą bydlęcą wpadł wiedząc za sobą dwu pacholków i wylęknętego chłopaka, który pochodnię trzymał w ręku.

Oprawca ani słowa nie odezwał się do księcia, skinąwszy na pomocników postąpił ku niemu.

Na Zbigniewa, stojącego u łóża, pacholcowie z obu stron rzucili się chwytając za barki, lecz nim za ręce go ujęli, dobył nóż i rozpaczliwie nim miotając, zadał naprzód lekkich razów kilka stojącemu bliżej oprawcy. Zmierzył potem ku piersi tego, który z żelazem ostrem także zabierał się silną dłonią za kark go pochwycić.

Walka poczęła się straszna, nierówna, zjadła, niełudzka, bydlęcego coś w sobie mająca.

Zbigniew bronił się jak zwierz pochwycony w janie, kłusząc, bijąc, miotając całym sobą. Pacholowie ręce mu lamali chwytając za nie, dusili piersi, mordowali za gardło cisnąc i usiłując skrepować.

Jeden z nich sznurem go już opłatywał, ale ręka mu się trzęsła z pośpiechu, a krew lała po twarzy. Chłopi stojące z pochodnią to oczy zakrywało ze strachu, to wytrzymać nie mogąc odślaniało je, aby zobaczyć co się działo i krzychało a jęczało.

Trzech tych ludzi zwinęło się jakby w kłęb jeden, w jeden kadłub nieforemny, którego ręk i nóg poplątanych rozeznąć nie było można. Jeden wreszcie piersi mu nacisnął kolanem, drugi broniąc się jeszcze dlonie sznurem krepował.

Oprawca z rękami obnażonemi stał oczekując przed nimi. Żelazo, które trzymał w ręku, mówiło co miał począć. Śpiczaste ostrze jego niejedne już oczy co na świat patrzyły, wyjęło z pod powiek. Oprawca powoli próbował je na paznokciu.

Nawykły był do tego rzucania się i rozpaczliwej obrony, ale tym razem ręce mu drżały, opór zaczynał go drażnić i burzyć, zbyt się przeciągał długo.

Przystąpił nagle do księcia, chwycił miotającą

się jeszcze konwulsyjnie rękę jego i pochylił się, aby rozpocząć wykonanie wyroku.

Lecz nim kat żelazem dosięgł oka, wysiłkiem gwałtownym Zbigniew rozerwał krępujące go pęta, odepchnął pacholców od siebie i nożem, którego mu wyrwać nie zdołano, w piersi uderzył oprawcę.

Raz ten, choć silny, ledwie przebił grubą suknię jego, nie syknął nawet, lecz rozwścieczony, zamiast do oczów zmierzył w piersi Zbigniewa i żelazo w nich utopił.

Uderzenie gwałtowne dosięgło serca, książę konając rzucił się tylko, ręką chwycił za piersi i drgając opadł na posłanie.

Białe żelazo tkwiło w ranie, i krew się około niego sączyła.

Pacholcowie powstawali z ziemi pot i krew ocierając ze skroni.

Kat patrzył obojętnie na ofiarę, nie rzekł słowa, potrząsał głową, zbliżył się, z wolna ostrze zaczął z piersi dobywać, otarł je o polę sukmany i zawiesił u pasa.

Na twarzy jego nie znać było najmniejszego wzruszenia, pot kroplami tylko występował mu na czoło. Skinął na posługaczów. Ci zbliżyli się do stygnącego trupa, — wiedzieli już co czynić mieli. Wyciągnęli skurezone członki na posłaniu, ręce złożyli na piersi krwawej, zamknęli otwarte powieki, przytrzymując je chwilę palca-

mi, opadł szcękę jeden z nich podwiązał powrozem.

Spojrzeni na trupa — wszystko było skończone, jak należało.

Chłopak, który pochodnię trzymał, tuląc się do ściany, drżał ze strachu, płakał i przez palce na zabitego spoglądał.

Ciągle milcząc oprawca poszedł ku drzwiom. Na skinienie jego widać było teraz sączącą się krew z lekkiej rany, którą książę mu zadał, ale nie czuł jej, nie spojrzał na nią. Chłopak z pochodnią i parolcowie szepejąc między sobą, opatrując ręce swe poranione, ocierając się i wyciągając szli za nim.

Drzwi więzienia, w którym trup został, nie zamknięto — mrok ogarnął izbę.

Oprawca zwolna skierował się ku wielkiej jadalni, w której wojewodowie na ławach siedzieli. Ujrawszy go powracającego wezszedłszy go spodziewano, idącego zwolna i zakłopotanego, Magnus wstał i wyszedł niespokojny przeciw niemu.

— Już? — zapytał.

Długo się zbierał na odpowiedź straszny człęk, trąc głowę i patrząc na ziemię.

— Nożem się bronił — rzekł — nie można było dostąpić do oczów...

Ręki ruchem pokazał, że przebić go musiał.

Wojewoda drgnął, i nie mówiąc słowa zwrócił się ku swym towarzyszom.

— Bronił się — rzekł — musiał go zabić.

— Rauli mnie — dodał oprawca szukając na sukni śladu uderzenia i wskazując krew.

— Stało się! — zawołał Skarbimierz. — Bóg tak chciał. Dobrze się stało.

Gdy to mówił ruszyli się wszyscy, jakby na oczy swe widzieć i przekonać się chcieli, że królestwo od wroga, który je trapił przez lat tyle, wolnem było.

Szli wszyscy poprzedzani przez pochodnie, które niesiono przed nimi; w izbie nie został nikt, cisnęli się w pounrém milczeniu.

Pierwszy Magnus przestąpił próg i spojrzał. Ciało leżało na łożu jak je pacholkiwie złożyli ze sznurem pod szczęką, z twarzą straszną jeszcze, na której stęzał wyraz walki ostatniej. Zastygła w rysach nieszczęśliwego guiew i wściekłość, usta miał pianą ze krwią okryte, sinieć zaczynało nabrzmiałe lice...

Wojewodowie otoczyli łoże i patrzali, nie okazując żalu, nie mówiąc słowa, nie litując się losowi człowieka.

— Tak lepiej — szepnął wychodząc Skarbimierz — sam sobie zgon przyspieszył. Nikt nie winien śmierci jego. Pospieszę do króla, aby mu oznajmić o tém.

Wracali już, gdy w sieniach spotkał ich stojący, czekający na nich O. Łukasz. Ciekawemi oczyma badał przybywających.

— Ojciec mój — odezwał się do niego wojewoda — oddajcie mu ostatnią posługę chrześcijańską. Nie żyje.

Ksiądz westchnął nie mówiąc nic, posunął się z twarzą smutną ku izbie więzienną i całą noc modlił się u ciała, ze spokojem człowieka, dla którego widok śmierci nie już strasznego i groźnego nie ma.

Nazajutrz pogrzeb cichy, w prostej trumnie zakończył ową długą tragedję krwawą braterskiej walki. Zwłoki królewskiego syna złożono w małym sklepiku pod kościołem — a zaledwie lat kilka ubiegło zapomniano nawet o grobie, którego żadną pamiątkową ceczą nie oznaczono.

---

Gdy Skarbimierz do Krakowa powrócił, jakby przeczuwając coś, król go natychmiast do siebie powołać rozkazał.

Wyszedł naprzeciwko niego ze trwogą na twarzy. Spojrzenie na nią kazało wojewodzie poszanować ten niepokój serca szlachetnego, które tyle przebaczyć umiało, a do zemsty tak nieskorém było.

Król stał pytać nie śmiejąc, Skarbimierz odezwać się nie miał odwagi. Milezeme samo wymowne było.

— Zbigniew? — jęknął wreszcie.

— Nie żyje! — rzekł nie ciągnąc już dłużej wojewoda. — Chciano mn oczy wyjąć tylko, ranil oprawcę i — sam się przebił na żelezie, które trzymał.

Słyszac to król pobladł jak chusta, pochwycił się za głowę i uszedł szybko.

Nie widziano go już tego wieczora, nie usiadł do wieczornego stołu, mówiono, że całą noc spędził w zamkowym kościele na modlitwie.

Nazajutrz przybywający panowie znaleźli go w szatach podartych, z głową popiołem posypaną, bosą, bladego, zalamującego ręce, rozgorączkowanego, we łzach.

Napróżno starali się go pocieszyć.

Skazał się na post, na chleb i wodę, wdział od tego dnia prostą oponę szarą, skrył się od tłumu, unikał ludzi, zmienił strasznie.

Strwożona królowa posłała po panów, panowie pobiegli po biskupa Baldwina, do duchownych wzywając ratunku.

Obawiano się stracić pana tego, na którego barkach spoczywało bezpieczeństwo królestwa, lękano się, aby dla dobrowolnej pokuty nie wyrzekł się panowania i małoletnim dzieciom a opiekunom niepewnym państwa nie zwierzył.

Biskup Baldwin zaledwie potrafił uspokoić nieco, srodze sobie tę śmierć braterską wyrzucającego króla. Duchowieństwo całe ofiarowało się ze skarbnicy ogólnej łask, które mi kościół rozpo-



rządzał, przyczynić się do ulżenia smutkowi strwożonego pana.

Nie ograniczając się na tém. pobożny król całe dnie prawie w kościołach przebywał, klęcząc lub krzyżem leżąc w czasie mszy, które się za zmarłych odmawiały, śpiewania psalterza i modlitw.

Codziennie tłumy ubogich sam karmił i przyodziewał; nakoniec pod pozorem podróży dla widzenia się z królem węgierskim, udał się Bolesław na wędrowkę do kościoła Ś. Idziego, patrona swego, na Węgrzech, na którego cześć kościół też w Krakowie przez ojca rozpoczęty, dokończył.

Świadek naoczny tej pielgrzymki króla, który był pierwszym rycerzem swojego wieku i najgorliwszym wyznawcą wiary, opisuje ten pochód pokutny Bolesława, jakiemu podobne w owych wiekach tylko widywano.

Było to w wielkim poście, w porze przedwiosennej, najprzykrzejszej w naszym klimacie. Król przez cały ciąg tych dni czterdziestu żył tylko chlebem suchym i wodą. Biskupi i prałaci zmuszali go na próżno, aby tak ostry post na modlitwy lub msze zamienił.

Codziennie zrana wychodził z biskupami i kapelanami, prawie zawsze boso, przez cały dzień idąc, póki godzin do Panny Maryi, pacierzy kapłańskich, siedmin psalmów pokutnych, litanij, psalterza całego i wigilij za zmarłych nie odśpiewano.

W ciągu drogi, na noclegach nogi umywał ubogim, rozdawał szaty, karmił ich, sypał jałmużny, obdarzał kogo tylko spotkał.

Wieść o tej pielgrzymce pobożnej poprzedzała go, wychodzili więc na spotkanie biskupi, opaci, zakony, nareszcie i sam król węgierski Koloman. Każdy kościół otrzymywał ofiarę, w niektórych złoto i blawaty, sprzęty kościelne kosztowne na pamiątkę zostawiał. Duchowieństwo obdarzał obficie, po królewsku.

Przystawowie Kolomana pilnowali tego, aby go wszędzie ze czcią i poszanowaniem należnem przyjmowano.

Pielgrzymkę tę odbywszy wrócił król do Krakowa, ale i tu jeszcze pielgrzymich sukni i kapi-cy nie zrzucił, aż dopóki nie pokłękł u grobu Wojciecha Świętego w Gnieźnie.

I do tego miejsca jeszcze szedł pieszo i boso, i tu posypaly się dary pańskie. Sprawiono naówczas na relikwie Apostoła Prus, Patrona Polski trumienkę złotą osiemdziesiąt grzywien wazącą, drogiemi kamieniami sadzoną. Biskup, duchowieństwo, kościoły obficie zostały obdarzone.

„Jednakże — pisze Gallus — pomimo pielgrzymki pobożnej, tak świątobliwie odbytej, dawny ucisk serca nie ustąpił im nigdy z pamięci“.

Koniec.



Biblioteka Raczyńskich

**JK 987**



JK0987